

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) . rs. 10	{	Rocznie . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5		Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50		Kwartalnie (13 tomów) „ 3
Za odnośzenie do domu 15 kop. kwart.		

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów).	„ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów).	„ 1 „ 50

W skład „Biblioteki dzieł wyborowych“ wchodzi dzieła następujących kategorii:

1. Arcydzieła literatury powszechnej,
2. Dzieła beletrystyczne (powieści, poezye, podróże, najbrziej cenionych autorów naszych i zagranicznych),
3. Dzieła historyczne, szczególnie pamiętniki i opowiadania, dotyczące naszej przeszłości,
4. Dzieła popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin wiedzy współczesnej.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

REDAKTOR

Fran Jul. Granowski.

Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Swiat 47. — Telefonu 564.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Swiat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 35.

Precz z orężem!

(HISTORIA PRAWDZIWA)



Berty baronowej Suttner

Z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeske-Choińskiego.

TOM I.

Cena 40 kop

W prenumeracie 30 1/2 k.

JOZEF

TOPOLSKI

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja:

47. Nowy-Swiat 47.

1898.

Dotychczas wyszły:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księztwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psalterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perła**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studjum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego*.
20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.

Tom.

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
- 22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
24. Roman Pleniewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
31. Klemens Junosza. **Na zgłiszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki**, tłomaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andréego balonem do bieguna**, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
35. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.

Berta baronowa Suttner.

PRECZ Z ORĘŻEM!

HISTORIA PRAWDZIWA.

PODEŁUG ORYGINAŁU NIEMIECKIEGO

obrobił

WŁODZIMIERZ TRĄPCZYŃSKI.

Z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeske-Choińskiego.

TOM I.

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego **JÓZEF**

47. Nowy-Świat 47.



83951/1

Дозволено Цензурою.

Варшава, 11 Мая 1898 года.

K-79/78/30302

BARONOWA BERTA VON SUTTNER.

Rozpoczęta w tomie niniejszym powieść baronowej Berty von Suttner, p. t. „Precz z orężem“ (*Die Waffen nieder!*), zyskała sobie w całym świecie cywilizowanym rozgłos powszechny. W jej ojczyźnie, w Niemczech, wydano ją w przeciągu siedmiu lat czternaście razy, we Francyi, w Anglii, Włoszech—w Europie i Ameryce tłumaczono ją skwapliwie.

Kobieta niemiecka wstąpiła dopiero z początkiem bieżącego stulecia do literatury jako czynny robotnik. Wprawdzie pomagała już żona Gottscheda mężowi bardzo dużo, Goethe radził się pani von Stein, Schiller Szarlotty von Kalb, Klopstock, Herder i Voss nie gardzili pomocą przyjaciółek, lecz pomoc ta była więcej bierną. Kobiety odgrywały rolę doradczyń i wielbicielek talentu męskiego, nie odważając się na występy samodzielne.

Swobodniejsze poglądy XIX stulecia, głównie zaś dążności emancypacyjne, popierane przez szkołę

młodo-niemiecką, powołały i kobietę germańską do szerszej działalności publicznej.

Nie mogąc się z powodu wadliwego, niedostatecznego przygotowania zmierzyć z mężczyzną na polu naukowem, zwróciła się kobieta niemiecka, tak samo jak inne, do poezyi, nowelli i powieści.

Pominąwszy kilka poetek dyletanckich z czasów romantyzmu, zaczyna się właściwa literatura niewieścia w Niemczech dopiero po roku 1830. Hrabina *Hahn-Hahn* i *Fanny Lewald* są pierwszymi kobietami, które zdobyły sobie w ojczyźnie Goethego i Schillera szerszy rozgłos powieściopisarski.

Fanny Lewald, żydówka królewiecka, nie mogła mieć oczywiście powodu do „apoteozowania towarzystwa,” które przed nią drzwi zamykało. Wystąpiła też odrazu jako gorliwa zwolenniczka liberalizmu mieszczańskiego. Krzewiła w licznych nowelach i powieściach t. zw. „oświecenie” (*Aufklärung*). Jej typy, wzięte ze sfer najniższych, filozofują tak śmiało i umiejętnie, jak profesorowie uniwersytetu.

Po hrabinie Hahn-Hahn i Fanny Lewald pannały przez dłuższy czas w tygodnikach, przeznaczonych dla „ognisk domowych,” dwie, znane i u nas bardzo dobrze z przekładów autorki—*Eugenia Marlitt* i *E. Werner*. Obie należą tak samo, jak Fanny Lewald, do obozu postępowego. Nienawiść do duchowieństwa, ostra krytyka szlachty, walka o prawa in-

teligencji mieszczańskiej—zabarwiają ich powieści kolorytem tendencyjnym. Na tem tle jaskrawem osnuwają one zwykle romans dwojga ludzi, nienawidzących się zrazu nienawiścią wręcz odmiennych charakterów, a kochających się zawsze szczerze przy końcu powieści.

Kobiety-autorki znają przez całe życie zwykle tylko jeden typ mężki, który powtarza się bezustannie w najrozmaitszych odmianach. Hrabina Hahn szuka ciągle „właściwego” (*den Rechten*), Marlitt sprzęga wszędzie obojętnego męża z obojętną żoną, aby ich w końcu w sobie rozmiłować. To samo odnosi się i do Wernerowej.

Wielką gromadą wtargnęły kobiety do literatury niemieckiej po roku 1870. *Ludwika François*, *Emilia Junker*, *Lola Kürschner* (*Ossip Schubin*), *Marya von Ebner-Eschenbach*, *Berta von Suttner*, *Juliana Derry*, *Ilsa Frapan*, *Anna Croissant-Rust*, *Adina Gemberg*, *Marya Eugenia delle Grazie*, *Marya Janitschek*, *Emilia Mataja*, *Szarlotta Niese*, *Gabryela Reuter*, *Helena Böhlau*, *Ida Boy-Ed* i w. in. wypychają bez ceremonii kolegów płci brzydkiej z felietonów gazet i tygodników.

Znakomita większość tego legionu autorek snuje dalej nic tradycyi, przekazaną młodemu pokoleniu przez Fanny Lewald, Eugenię Marlitt i E. Werner.

Koloryt wojowniczy przeważa w dziełach po-

wieściopisarek niemieckich. Jedne walczą o prawa kobiety, „nierozumianej, nieocenionej należycie, sporniewieranej przez pleć mocną,“ inne kruszą kopie w imię „wolności uczuć,“ jeszcze inne zabierają głos w „kwestyach palących“ chwili. Ma dziś współczesna literatura niemiecka pesymistkę w osobie Adiny Gemberg, ma satyryczkę (Julianę Déry), ma moralizatorki (Helenę Böhlau, Emilię Mataja), ma i naturalistkę (Annę Croissant-Rust).

Inteligencją oryginalną jest Ida Boy-Ed, broniąca, co się rzadko zdarza, męża przeciw żonie. Zdaniem jej, są głównie kobiety winne, jeżeli ślubami dożgonnemi złączone stadło nie żyje z sobą zgodnie. Kobieta to, wierzy Ida Boy-Ed, nie docenia mężczyzny, nie umie mu sprostac sercem i głową, gorsza od niego, samolubniejsza.

Najzwawszą polemistką wśród współczesnych auterek niemieckich jest baronowa Berta von Suttner. Czuje się ona tylko w boju za „nową idee“ w swoim żywiole.

Z domu hrabianka Kińsky, córka feldmarszałka austriackiego (urodzona w Pradze czeskiej w r. 1843), wychowana bardzo starannie, należy baronowa Suttner pochodzeniem i stosunkami do najlepszych sfer towarzyskich. Tłem jej powieści jest głównie „towarzystwo,“ jego poglądy, zwyczaje i obyczaje. Znajac arystokrację austriacką z obserwacji osobistej, maluje ją wybornie.

Wyszęd'szy w r. 1876 za barona Artura Suttnera, przepędziła autorka „Precz z orężem“ lat dzieścię z małżonkiem w Tyflisie, gdzie czytała bardzo dużo. Po powrocie do Austrii zamieszkała stale na zamku Herrmannsdorf (w Dolnej Austrii) i poświęciła się literaturze. Już jej powieść p. t. „Rękopis“ (*Ein Manuskript* 1885 roku) zjednała jej uznanie krytyki, europejskim jednak rozgłosem uwieńczyło jej nazwisko dopiero dzieło p. t. *Die Waffen nieder!* w którem rzuciła z niepospolitym talentem i z wielką odwagą rękawicę wojnie i jej skutkom.

Baronowa Suttner stoi obecnie na czele wiedeńskiego związku pokoju (*Verein der Friedensfreunde*) i wydaje od r. 1892 miesięcznik p. t. *Die Waffen nieder!* który jest organem międzynarodowego związku pokoju w Bernie.

Teodor Jeske-Choiński.

Księga pierwsza.

~~~~~  
ROK 1859.  
—————

W siedemnastym roku życia byłam prawdziwie przesadzonem stworzeniem. Nie wiedziałabym może o tem obecnie, gdyby nie kartki z pamiętnika, przechowywane do tej pory. Na tych to kartkach uwieczniły się rojenia i sny dawno ulotnione, pomysły, które się nigdy nie miały wcielić, uczucia, których się nigdy więcej nie doznawało. Dziś dopiero osądzić mogę, jakie idee egzaltowane tkwiły w naiwnej, ale ładnej głowie mojej. Co prawda, i tę piękność moją, o której zwierciadło obecnie niewiele mogłoby powiedzieć, przechowały stare jedynie portrety. Wyobrażam sobie teraz, z jaką zazdrością patrzano na młodą, uchodzącą za piękną i otoczoną zbytkiem wszelkiego rodzaju hrabiankę Martę Althaus!

A jednak te oryginalne, w czerwoną okładkę zaopatrzone kartki sztambuchu, świadczą raczej o me-



lancholii, niż o radości. Zadaję sobie przeto teraz pytanie: czy w rzeczy samej byłam tak głupiutką, ażeby nie zrozumieć korzyści mojego stanowiska towarzyskiego, czy też do tego stopnia marzycielsko patrzyłam na świat, że tylko wrażenia, wzbudzające melancholię w duszy, uważałam za godne uwiecznienia w prozie poetycznej na stronicach czerwonego kajetu? Że los mój nie zdawał się mnie zadowalniać, świadczy urywek następujący:

„O Joanno d'Arc, dziewico mężna, łaską niebios obdarzona! Gdybym ja mogła być podobną do ciebie! Nieść chorągiew, królowi swemu włożyć koronę na skronie, a potem umrzeć za ojczyznę, za tę drogą!“

Ku urzeczywistnieniu tych skromnych życzeń nie nadarzała się żadna sposobność, nie było także możliwe spełnienie innego zachcenia (wpisanego pod datą 19-go września 1853-go roku), ażeby jako męczennica chrześcijańska dać się poszarpać przez lwa drapieżnego. Cierpieć mi zatem tylko wypadło, że wszystkie te czyny wielkie, do których rwała się dusza, pozostać muszą niespełnione i że życie moje i powołanie było chybione. Ach! dlaczegoż na świat nie przyszłam chłopcem! (Ten okrzyk, skierowany przeciwko przeznaczeniu mojemu, pozostał w czerwonym kajecie, jak i inne, bezskutecznym wyrzutem). Gdybym była mężczyzną, iluż wyżyn niedostępnych mogłabym osiągnąć, ile zdziałać wzniosłego na ziemi! Historia tak mało przekazała czynów rycerskich ze strony kobiet! Jakże rzadko mieć możemy Grachów jako synów, albo jak mało jest takich kobiet, na których cześć Madziarowie wydobywaliby z pochew

krzywe szablce, wydając okrzyk radosny: „Niech żyje Marya-Teresa, nasz król!“ Rzecz inna, gdy się jest mężczyzną! Wtedy wystarcza przypasać oręż do boku i ruszyć w pole, ażeby zdobyć sławę i wawrzyny, sięgnąć po tron, jak Cromwell, albo po panowanie nad światem, jak — Bonaparte! Przypominam sobie, że szczyt marzeń o wielkości widziałam wówczas jedynie w bohaterstwie. Dla uczonych, poetów, dla podróżników, odkrywających lądy nowe, miałam oczywiście pewien szacunek, ale podziw właściwy wzbudzał we mnie tylko szcęk ścierających się w walce orężów. Jedynie wojownicy wytykali szlak dziejom świata, oni sterowali losami ziem i krajów, oni górowali ponad innymi śmiertelnikami rolą ważną, jaką odgrywali, wzniosłością, boskością niemal, jak górują nad trawami i kwiatami szczyty Alp lub Himalajów. Czyż po tych objawach mam sądzić, że we mnie istniał duch bohaterski? Cała rzecz w tem, że byłam zdolną do uniesień i umysł posiadałam skłonny do afektacyi. W tych warunkach zapalałam się namiętnie do wszystkiego, co podręczniki szkolne i całe otoczenie moje wynosiło ponad powszedniość.

Ojciec mój był generałem armii austriackiej i jako taki, bił się „z Papą Radeckim“, którego uwielbiał, pod Custozzą. Iluż to nasłuchiłam się zawsze anegdot na tle wojennem! Dobry tatko tak był dumny ze swoich przeżyć wojennych i z takim zadowoleniem opowiadał o kampaniach, które odbył, że mimowoli litowałam się nad ludźmi, niemogącymi posiadać wspomnień podobnych. Cóż to za poniżu nie dla rodzaju żeńskiego, wykluczonego od udziału



w czynach, które tworzą najwspanialszą część ludzkiego poczucia honoru i obowiązku!... Jeżeli też dobiegło do moich uszu cośkolwiek o dążeniach kobiet do równouprawnienia (choć w czasach mej młodości nie mówiono wcale o tem, lub gdy mówiono, to w sposób przedrwiwający albo potępiający), to ja wszelkie pożądanie emancypacyjne wyobrażałam sobie w jednym tylko kierunku: „Dajcie kobietom prawo podążania w ryszunku na wojnę!“ Ach! jakże to pięknie czytać w historii powszechnej o Semiramidzie, czy Katarzynie II, że „ona z tem albo owem państwem sąsiedniem prowadziła wojnę i—że zdobyła tę lub ową ziemię..“

Przedewszystkiem ta historia powszechna, jak się ją młodzieży wkłada w głowę, czyż to nie jest główne źródło rozbudzenia podziwu dla czynów wojennych? Umysłowi dziecięcemu wtłacza się już wtedy, że wódz bitnych zastępów bezustannie naznacza bitwy, że te bitwy są niejako rydwanem, za którym toczy się przez wieki cała historia ludów, że one są spełnieniem nie dających się ominąć praw natury, że są falą powrotną tak nieodzowną, jak burze morskie lub trzęsienia ziemi, że nakoniec, chociaż towarzyszy im płacz i jęk, to przecież lży ustąpić muszą przed korzyściami, jakie przeważają w pełni. Ogół wynagradzany jest ważnością osiągniętych rezultatów, człowiek pojedynczy ma nagrodę w blasku sławy, jaką może osiągnąć, albo przynajmniej w przeczuciu, że spełnił jedną z najwznioślejszych powinności swoich. Czyliż jest wogóle piękniejsza śmierć niż na polu sławy, czyż istnieje coś szlachetniejszego dla śmiertelnych nad wieczną pamięć bohaterstwa?

Wszystko to wypływa jasno i przekonywająco z wszelkich podręczników szkolnych i z tych książek, jakie są przeznaczone do użytku młodzieży. Tam, obok długiego łańcucha wypadków wojennych, tworzących właściwą historię, wplecione są przeróżne opowiadania i wiersze, zawsze tylko sławiące bohaterskie czyny orężne. Leży to już niejako w samym systemie wychowania młodzieży w duchu patryotycznym, ze względu bowiem, że każdy uczeń stać się ma w przyszłości obrońcą ojczyzny, rzeczą jest naturalną budzenie w dziecku zapалу do wypełniania najpierwszej powinności obywatelskiej. Duszę jego potrzeba zahartować i przemódz w niej wstręt wrodzony na myśl o wszystkich tych okropnościach, jakie wywołać może wojna. Opowiada mu się przeto o najstraszliwszych kąpielach w krwi ludzkiej, o rzeziach, jak gdyby to było czemś naturalnem, zwykłym, potrzebnem, nawet nieodzownem, a przy tem opowiadaniu główny nacisk kładzie się na stronę idealną starego obyczaju ludów. W ten sposób osiąga się rezultat, że naród staje się mężny i chętny do boju.

Lubo przeznaczenie dziewcząt jest inne i nikt nie wymaga od nich, ażeby kiedyś iść miały na bój, kształcą się one jednak na takich samych podręcznikach, mających na celu wychowanie chłopców w duchu nawskroś żołnierskim. Ztąd też pochodzi, że u młodzieży płci żeńskiej wyradzają się takie same pojęcia, że dziewczęta nie rzadko wybuchają nienawiścią dla wrogów, a podziw mają i uwielbienie dla zawodu żołnierskiego. Nam, wiotkim dziewczątkom, upominanym przez matki, ażebyśmy zawsze rządziły się tylko łagodnością i dobrocią serca, stawia się



przed oczy takie dreszczem przejmujące obrazy bitew po wszystkich częściach kuli ziemskiej, poczynając od wojen biblijnych, macedońskich, punickich a kończąc na wojnie trzydziestoletniej i bitwach Napoleońskich, że... że... prawdziwą przyjemnością staje się słuchanie opowiadań o miastach, które stały w ogniu, o mieszkańcach, których uczono „skakać przez kij“ i o obdzieraniu ze skóry zwyciężonych. Rzecz jasna, że takie nagromadzenie i takie ustawiczne powtarzanie o wszelakich ohydach zaciera w umyśle dziecka przeświadczenie o samej istocie ohydy, wszystko bowiem, co się da podciągnąć pod rubrykę wojny, nie bywa już rozpatrywane z ogólnie ludzkiego punktu widzenia, ale otrzymuje pewien nimb zupełnie odrębny, mistyczno-historyczno-polityczny. „Tak być musi, bo to źródło najwyższych godności i najwyższych zaszczytów“ — rozumują zupełnie słusznie dziewczęta, one, które zmuszano uczyć się na pamięć wierszy i tyrad, opiewających wspaniałości wojny. W taki sposób powstają owe matki-spartanki i panny rwące się do orderu, chociażby ten order pochodził z rąk oficera i dany był przy figurze kotylionowej.

\* \* \*

Nie w klasztorze wychowano mnie na wzór tyłu towarzyszek z mojego stanu, jeno w domu rodziców moich pod kierunkiem nauczycieli i nauczycielek. Matkę utraciłam wcześniej, miejsce zaś jej zastępowała nam, dzieciom — miałam zaś troje młodsze go rodzeństwa — ciotka, osoba wiekowa, niegdyś Kantoniczka. Zimowe miesiące przepędzaliśmy w Wie-

dniu, lato zaś całe w dobrach rodzinnych, położonych w Austrii Dolnej.

Wychowawczyniom moim i nauczycielom sprawiałam (dobrze to sobie dziś przypominam) prawdziwą pociechę, byłam bowiem uczennicą pilną, obdarzoną pamięcią dobrą, szczególnie zaś ambicią. Że ambicyi mojej, jak to już wyżej powiedziałam, nie mogłam zadowolnić jako bohaterska dziewczyna, wygrawajęca walki orężne, poprzestawałam zatem na otrzymywaniu dobrych stopni za wydawane lekcye i na wzbudzaniu podziwu w otoczeniu dla pilności mojej. W językach francuskim i angielskim doszłam prawie do doskonałości, z geografii, astronomii, nauk przyrodniczych i fizyki przyswoiłam sobie tyle wiadomości, ile wymagał tego program ówczesnej edukacji kobiet. Natomiast z przedmiotu, który się zwał „historią“, nauczyłam się więcej, aniżeli żądano ode mnie. Z biblioteki ojca wyciągałam grube tomy dzieł historycznych, wczytywałam się w nie w chwilach wolnych od zajęć i zdawało mi się zawsze, że staję się rozumniejszą, gdy w pamięć swoją wdrożę nieznaną dotąd jakiś wypadek, jakieś nazwisko, jakąś datę z czasów ubiegłych. Przed grą na fortepianie, która przecież także wchodziła w plan ogólnego wychowania, broniłam się zawzięcie; nie posiadałam bowiem ani talentu, ani chęci do muzyki, i czułam, że na tym punkcie nie zaspokoję ambicyi swojej. Tak długo przeto i tak gorąco prosiłam, ażeby drogiego czasu, mogącego być użytym na inne studia, nie skracano mi bezcelowem brzdąkaniem na fortepianie, aż dobry mój ojciec uwolnił mnie od tej



pańszczyzny ku wielkiemu zmartwieniu ciotki, która twierdziła, że „bez muzyki niema prawdziwego wykształcenia“.

W dniu 10-ym marca 1857 roku święciłam siedemnastą rocznicę urodzin. „Już siedemnaście“ — brzmi zdanie, zapisane pod tą datą w pamiętniku moim. To „już“ tworzy cały poemat, chociaż bowiem nie znajduję obok żadnego objaśnienia, najprawdopodobniej jednak chciałam w tem jednym słowie wyrazić: „i jeszcze nic nie uczyniłam, ażeby się stać nieśmiertelną.“ Kajecik czerwony teraz, kiedy zamierzam skreślić wspomnienia życia mojego, oddaje mi wcale dobre usługi, umożliwia bowiem przypomnienie wszelkich wypadków dawniejszych, których kontury mgliste zachowały się tylko w pamięci. Przeszłość dzięki im widzę w najdrobniejszych szczegółach i cały oddawna zapomniany bieg myśli albo dawno przebrzmiałe rozmowy, mogę ze ścisłością drobiazgową przelać dziś na papier.

W nadchodzącym karnawale miałam być wprowadzoną w świat, obietnica ta wszakże nie zachwycała mnie do tego stopnia, jak to się dzieje zazwyczaj u innych młodych dziewcząt, piłam się bowiem do czegoś większego nad tryumfy z sali balowej. Do czego dążyłam, nie wiem i odpowiedzi nie umiałabym sobie sama udzielić. Może do miłości... może, chociaż nie wiedziałam o tem sama. Przecież wszystkie porywy ogniste, sny tęskne, rojenia ambitne, które rozpierają piersi młodzieńców i pańien, szukających upustu w żądzy wiedzy, w ochocie do podróży, w pochopności do czynu, nie są niczem wię-

cej, jak tylko nieświadomie budzącemi się popędami miłosnemi.

Ciotce zalecono kurację w ciągu lata w Marienbadzie, uważała więc za stosowne zabrać mnie z sobą. Jakkolwiek urzędowe wprowadzenie moje w świat miało nastąpić dopiero w ciągu nadchodzącej zimy, pozwolono mi jednak uczestniczyć w kilku małych balach kurhausowych. Do pewnego stopnia miała to być także próba i rodzaj ćwiczenia się w sztuce tańca i gładkiej rozmowy towarzyskiej, ażeby w karnawale nie okazała się zanedo łękliwą i skrepowaną.

Czy zgadniecie, co się przytrafiło zaraz na pierwszym „reunione“? Oto zakochałam się gorąco, śmiertelnie! Rzecz naturalna, iż przedmiotem miłości mojej mógł być tylko... oficer, jak w tym wypadku, oficer od huzarów. Wszyscy ludzie ubrani po cywilnemu w oczach moich wydawali się chrabąszczami przy umundurowanych motylach. Pomiedzy oficerami wszelkiej broni w każdym razie największy blask rzucali w oko — huzarzy, pomiedzy zaś huzarami olśniewał pięknoscią i wyróżniał się hrabia Arno Doczky. Więcej, niż 6 stóp wysoki, o włosach czarnych, kędzierzawych, z wąsikiem zakręconym w górę, z pod którego uśmiechając się, odsłaniał dwa rzędy białych zębów, o oczach ciemnych, umięających patrzeć przenikliwie i zarazem czule, Arno wyglądał prawdziwie imponująco. Z chwilą też, gdy przybliżył się ku mnie i rzucił pytanie: „czy ma pani kotyliona wolnego?“ — czułam instynktownie, że i takie tryumfy mogą być równie podniosłe, jak powiewanie chorągwią u Dziewicy Orleańskiej, albo dzierżenie



berła przez cesarzową. Niewątpliwie i on również, ten dwudziestodwuletni młodzieniec, doświadczał podobnego uczucia, gdy z najpiękniejszą panną, jaka się znajdowała na balu (po trzydziestu latach ubiegłych od tej chwili można już śmiało o tem mówić) w takt walca płynął przez salę. Jakie myśli przebiegały w umyśle jego, nie wiem, ale przypuszczam, że zbiegały się one w jedno gorące uczucie: „ciebie nazwać swoją, nadobna istoto, więcejby mi znaczyło, aniżeli sięgnąć po wszelkie buławy marszałkowskie.“

— Ależ Marto, ależ Marto! — mruzczała ciotka, gdy bez tchu upadłam na krzesło niby obłokami z gazy chwaszcząc tiulem mojej sukni nad jej głową.

— Przepraszam ciocię — rzekłam, siadając już porządnie — nie moja w tem wina...

— Nie o tem też mówię, wyrzuty moje dotyczą twojego zachowania się wobec tego huzara. W tańcu nie wolno się tak przytulać... Któż przytem w ten sposób mężczyźnie patrzy w oczy?

Zarumieniłam się mocno. Czyżbym popelniła coś niewłaściwego, czy może ten niezrównany tancerz poweźmie zło o mnie wyobrażenie? Jeszcze w ciągu balu pozbyłam się tych powątpiewań trwożliwych, podczas bowiem walca, poprzedzającego kolację, szepnął mi on do ucha:

— Posłuchaj mnie pani, nie mogę inaczej postąpić, jak tylko wyjawić pani wszystko dziś jeszcze... Kocham panią!...

Brzmiało to trochę inaczej i przyjemniej, niż najpiękniejsze nawet utwory poetyczne zdolne są wyrazić, ale nie mogłam mu przecie nic odpowiedzieć w wirze tanecznym,

Widocznie i on to przeczuł, w tej bowiem chwili przerwaliśmy taniec i stanęli w pustym rogu salonu, gdzie niepodsluchiwni przez nikogo, mogliśmy dalej prowadzić naszą rozmowę:

— Racz mi powiedzieć, hrabianko, czego mi się wolno spodziewać?

— Nie rozumiem pana — kłamałam w żywe oczy.

— Może nie wierzysz pani w miłość „od pierwszego wejrzenia?“ Dotąd ja sam uważałem to za bajkę, dziś jednak prawdy tego uczucia doświadczyłem na sobie.

Serce biło mi, jak młotem, a jednak milczałam.

— Jak ćma do słońca, lecę ku przeznaczeniu — ciągnął dalej. — Pani, albo żadna! W ręce twoje składam wyrok o szczęściu mojem, albo wyrok śmierci... bo bez ciebie żyć nie mogę, żyć nie chcę... Chceszże więc być moją?

Na tak jasno postawione pytanie, musiałam przecież coś odpowiedzieć, napróżno jednak szukałam w głowie frazesu, który brzmiałby z jednej strony dyplomatycznie, z drugiej zaś nie przecinał drogi do nadziei i który nie ubliżałby godności mojej. Wszelako nie zdołałam nic więcej z siebie wydobyć nad drżącym głosem wyszeptane „tak.“

— W takim razie niech że mi wolno będzie jutro prosić ciotki o rękę pani i to samo napisać do hrabiego Althausa.

I znów krótkie „tak“, tym razem wymówione głosem silniejszym, było moją odpowiedzią.

— Ach! szczęśliwym się czuję! Więc i ty ta-



kie samo wrażenie odniosłaś „od pierwszego spojrzenia“, więc i ty mnie kochasz?

Teraz umiałam tylko odpowiedzieć oczyma, ale zdaje mi się, że i one mówiły najwyraźniej „tak.“

\* \* \*

Ślub mój odbył się w ośmnastą rocznicę moich urodzin, przedtem jednak zaprowadzono mnie w świat najwyższy, gdzie przedstawiono mnie nawet cesarzowej, jako szczęśliwą narzeczoną. Po ślubie przedsięwzięliśmy podróż do Włoch, na co Arno uzyskał dłuższy urlop. O opuszczeniu służby wojskowej nie było nigdy mowy, chociaż bowiem posiadaliśmy oboje dość pokaźny majątek, mąż mój jednak kochał swój zawód i ja razem nim go kochałam. Dumną się czułam z mego strojnego oficera pułku huzarów i z zadowoleniem patrzyłam w przyszłość, gdy on zostanie rotmistrzem — pułkownikiem — generałem — marszałkiem... kto wie, może jeszcze zabłyśnie jako wódz wielki i sławny na karcie dziejów ojczystych...

Czerwony mój kajet wykazuje lukę właśnie z czasów narzeczeństwa i miodowych miesięcy, co sprawia mi wielką przykrość. Woń tych dni szczęśliwych rozwiała się, zniknęła, w pył zamieniło się wszystko. Gdybym była spisywała skrupulatnie wrażenia tych dni szczęśliwych, przynajmniej utrwaliłby się pewien odblask na tych stronicach. Nie! po tysiąc razy „nie!“ Dla zgryzot moich i boleści moich nie zabrakło mi skarg, domyslników i wykrzykników, boleści i wypadki jęk wywołujące odsłaniałam do głębi, ale tych pięknych godzin życia używałam tylko w milczeniu. Nie byłam dumną z mojego szczęścia, nikt

też więc, nawet mój pamiętnik, nie dowiedział się o tem! Tylko boleści i tęsknoty poczytywałam sobie za rodzaj zasługi i dlatego tyle około siebie robiłam hałasu. Rzecz dziwna, że ten kajet czerwony wszystkie smutki tak wiernie odzwierciedla, podczas gdy z dnia szczęścia i wesela żaden ślad nie pozostał na kartach. To doprawdy głupie! Wygląda to zupełnie, jak gdyby ktoś, wybrawszy się na przechadzkę, chciał do domu przynieść pamiątkę z drogi i... z przedmiotów napotykaných zabierał tylko to, co brzydkie, i jak gdyby uważał za stosowne w puszcze przeznaczonej u rośliny, umieszczać tylko ciernie, osty, robaki, ropuchy, depcząc kwiaty i nie goniąc za motylami.

A jednak przypominam sobie, że świetne to były czasy, coś w rodzaju bajki czarodziejskiej. Miałam wszystko, czego tylko pożądać mogło młode serce kobiece, a więc: miłość, bogactwo, stanowisko w świecie i dobra ziemskie! Wrażenia, wówczas przeważnie odnoszone, były takie nowe, takie niespodziewane, takie wzbudzające podziw! Kochaliśmy się do szaleństwa, z całą siłą, z całym ogniem młodości naszej, drwiącej sobie z życia i pewnej swej piękności. Mój lśniący huzar wyjątkowo był przytem człowiekiem zacnym, dobrego serca, szlachetnie myślącym, miał światową ogładę, wykształcenie i humor zawsze pogodny. Wszak mogłoby być odwrotnie! Jakąż bowiem rękojmnię dawał na balu w Marienbadzie, że nie będzie człowiekiem złym i grubiańskim? Dobraliśmy się wypadkowo, i ja bowiem byłam dziewczęciem dość roztropnem i wesołem, a czyż on na tym omawianym balu nie mógł się równie dobrze zako-



chać w kapryśnej, chociaż ładnej gąsce? Stało się tedy, że byliśmy zupełnie szczęśliwi i że skutkiem tego szczęścia czerwono oprawna księga główna moich lamentów przez dłuższy czas pozostawała pustą.

Przepraszam! oto znajduję radosną notatkę: zachwyty nad nową moją godnością, jako matki. Pierwszego stycznia 1859 r. (jakiż to był wspaniały podarek noworoczny!) urodził się nam synek. Naturalnie wypadek ten wzbudził taki podziw i taką napelił nas radością, jak gdybyśmy byli pierwszą parą małżeńską, której się coś podobnego przytrafiło na świecie. Uczucia te wywołały potrzebę wzięcia znów w rękę pamiętnika, o takiej bowiem osobliwości, o takim fakcie ważnym, musiała być przecie powiadomiona potomność! Same wyrazy „młoda matka“ nadają się wyjątkowo świetnie jako temat do artystycznie i po literacku obrobionego wypracowania. Temat to najpiękniej opiewany przez poetów i najpilniej wyzyskany i zez malarzy. Przytem można tu tak pięknie w mistycznym stylu, to znów patetycznie, to ze wzruszeniem, naiwnie, to znów miłośniczo—słowem niezmiennie poetycznie wyrazić wszystko!... Do pielęgnowania tego nastroju przyczyniają się (jak książki szkolne przyczyniają się do pielęgnowania zachwyty nad wojnami)—wszelkie antologie, tygodniki obrazkowe, galerie obrazów, podpisy pod rycinami wyrażające zachwyt w rubrykach: „Miłość matczyne“, „Szczęście matczyne“, „Duma matczyne“ i t. p. Wszystko, co można zdziałać najwyższego w ubóstwianiu bohaterów (patrz Carlyle'a *hero-worship*), to czynią ludzie odnośnie do *baby-worship*. Naturalnie, że i ja nie pozostałam w tyle za innymi, mój

mały Ruru stał się najnowszym cudem tego świata. Ach! synu mój, ty dorosły i piękny Rudolfe, wobec tych uczuć, jakie żywię dziś dla ciebie, błdną zachwyty z owych czasów dzieciństwa twójego! W porównaniu z niemi, owa ślepa, małpia, żarłoczna miłość młodej matki, staje się tak marna, jak marnem jest dziecię w powijkach wobec rozwiniętego mężczyzny!...

Niemniej dumnym był ojciec młody z następcy swojego, na którym budował najpiękniejsze plany przyszłości. „Czem będzie ten mały?“ Pytanie takie, lubo niezbyt pilne podówczas, rzucaliśmy sobie często nad kołyską Rura i zawsze odpowiadaliśmy jednogłośnie—„żołnierzem!“ Czasami budził się w umyśle matki słaby protest: „a gdyby miał zginąć na wojnie?“ „Ba!—uspokajano ją wówczas—każdy przecież umiera tylko tam, gdzie mu przeznaczono, i tylko wtedy, gdy mu ta śmierć sądzona.“ Zresztą Ruru nie będzie jedynakiem, niechby więc tam sobie drugi w imię Boże został dyplomata, trzeci gospodarzem, czwarty księdzem, pierwszy jednak i najstarszy musi obrać zawód ojca i dziadka, zawód najpiękniejszy ze wszystkich—on musi być żołnierzem.

Tak postanowiłam i już w drugim miesiącu życia swojego Ruru awansowany został na kaprała. Toć jeżeli wszyscy następcy tronu natychmiast po urodzeniu stają się właścicielami pułków, dla czego my naszych małych latorośli nie moglibyśmy ubrać w rangę wytworzoną przez imaginację. Najmilszą zabawą stała się dla nas odtąd zabawa „w żołnierze“. Arno salutował malca naszego, ile razy na rękę mamki weszło do pokoju moje bobo, mamkę zaś nazywali-



śmy markietanką (waszej domyślności zostawiam odgadnięcie, gdzie ta mamka miała swój magazyn żywnościowy). Krzyk Rurusa zwaliśmy sygnałem alarmowym, a co oznaczało określenie „Ruru idzie na plac musztry”—dośpiewajcie sobie w duszy.

\* \* \*

Pierwszego kwietnia, jako w dniu pierwszym trzeciego miesiąca od czasu urodzin (obchodzić tylko rocznicę—za mało nastroczało okazji do wyjątkowych uroczystości!), Ruru awansował na podoficera. Niestety! dzień ten nie obszedł się bez chmury, co w sercu mojem tak zaciężyło, że poczułam się sklonną zrzucić ciężar bodaj w części na kartki czerwonego kajeciku.

Już od dłuższego czasu na horyzoncie politycznym widny był „punkt czarny“, o którego możliwym wzroście najżywsze podawano sobie komentarze zarówno w gazetach, jak i w rozmowach po salonach. Co do mnie, nie zwracałam dotąd na ten punkt uwagi, chociaż bowiem ojciec mój i mąż powtarzali przy mnie często, gdy zebraliśmy się w gronie przyjaciół wojskowych, że: „przyjdzie do czegoś z Włochami“, to słowa te odbijały się jednak bez wrażenia, brakowało mi bowiem zrozumienia rzeczy. Troszczyć się o sprawy polityki nie miałam ani czasu, ani ochoty, niechby nawet wokoło mnie jak najgoręcej dyskutowano o stosunkach Sardynii względem Austrii, albo debatowano o zachowaniu się Napoleona III, którego pomoc przez udział w wojnie krymskiej zapewnił sobie Cavour, niechby ile chciano mówiono o naprężeniu, wynikiem wskutek tego przymie-

rza pomiędzy nami a sąsiadami włoskimi — nie zważałam na to wcale. Owego jednak dnia, 1-go kwietnia, rzekł mąż mój z całą powagą:

— Wiesz, najdroższa, teraz wkrótce się zacznie.

— Co się ma zacząć, mój miły?

— Wojna z Sardynią.

Przeleżałam się strasznie.

— Na miłość Boską — krzyknęłam — to byłoby okropne! Czy i ty musiałbyś wyruszyć!

— Prawdopodobnie.

— Jakże możesz mówić coś podobnego! To „prawdopodobnie“ oznacza opuszczenie żony i dziecka!

— Jeżeli powinność woła...

— Wtedy trzeba się poddać losowi, to prawda, ale w tem powiedzeniu twojem, w tem „prawdopodobnie“ tkwi chęć pośpieszenia w szeregi bez względu na to, że gorzkie jest spełnienie owej powinności.

— Gorzkie?! Taka wojna odświeża, robi wesołym. Nie byłem w ogniu, ale czuję, że musi być ona rzeczą wspaniałą. Nie zapominaj, że jesteś żoną żołnierza!...

Wtedy rzuciłam mu się na szyję...

— O mój najdroższy—wołałam—bądź spokojny, potrafię być mężną! Ileż to razy współczułam bohaterom i bohaterkom historycznym i wyobrażałam sobie, jakie wzniosłe uczucie rodzi się u tych, którzy ciągną na pole walki! Gdybyż przynajmniej wolno mi było przy boku twoim bić się, zginąć lub zwyciężyć!

— Dzielnie mówisz, moja żonko, ale—nierozu-



mnie. Miejsce twoje tu, przy kołysce syna naszego, który także wyrosnąć musi na obrońcę ojczyzny, miejsce twoje u domowego ogniska i właśnie, ażeby to ognisko obronić, zabezpieczyć je od napadu nieprzyjaciół, ażeby w domu żonom naszym i rodzinom zapewnić pokój, my, mężczyźni, idziemy na wojnę.

Nie wiem, dlaczego słowa te, które w innych okolicznościach i w innym usposobieniu byłabym tylko przyjmowała z entuzjazmem, tym razem do pewnego stopnia wydawały mi się „frazesem.“ Gdzież tu zagrożenie ogniska domowego! Przed bramami miasta nie stały przecież hordy barbarzyńców—ot! zwykłe polityczne napięcie pomiędzy dwoma gabinetami, nic więcej. Gdy więc mąż mój jak zapaleńiec chciał iść w bój, to nie popychała go jeszcze konieczna potrzeba obrony żony, dziecka i ojczyzny, ale raczej chęć użycia przygód, dążność do urozmaicenia sobie życia przez wymarsz w świat, pochopność wreszcie do uzyskania odznaczeń, awansów... Jakkolwiekbyś jest, zawyrokowałam wreszcie, idąc za biegiem myśli moich, jakkolwiekbyś nazwiemy to: zapalem, czy ambicyą, zawsze ambicya to usprawiedliwiona i wzmacnia ochotę ku godnemu i mężnemu wypełnianiu obowiązków żołnierskich.

Podobała mi się nawet radość Arna na myśl o boju, ale dotąd nie było jeszcze nic pewnego. Może jeszcze wojna wcale nie wybuchnie! Gdyby zaś wybuchnęła, to czyż istniała pewność, że właśnie Arno będzie odkomenderowany? Toć nie zawsze armia cała staje odrazu w linii bojowej. Nie! tego wspańskiego szczęścia, którem los w pełni mnie obdarzył, nie mógł ten sam los dobry tak brutalnie obrócić

w grzy. Arno mój, gorąco przeżemnie umiłowany Arno! Ciebie ujrzeć w niebezpieczeństwie, to byłoby okropne!...

Takie i tym podobne wylewy duszy wypełniają pamiętnik z dni owych.

Odtąd w czerwonym kajecie pełno jest czerwiego politykowania: „Ludwik Napoleon jest intrygantem“... „Austria nie może długo przyglądać się spokojnie“... „Przyjdzie do wojny... Sardynia ułęknie się przemocy i ustąpi... Pokój będzie utrzymany...“ i tak dalej i tak dalej. Pomimo całego podziwu, jaki w teorii miałam dla bitew dawniejszych, wszystkie moje z głębi serca płynące życzenia wyrażały chęć utrzymania pokoju, ale życzenia mego męża widocznie przeważały na szali i wywołały inną alternatywę. Nie wyjawiał on prosto z mostu tego, co odczuwał, ale wszelkich nadchodzących wiadomości o powiększaniu się owego „czarnego punktu“ udzielał mi z okiem błyszczącym, gdy przeciwnie, coraz słabsze, niestety, horoskopy pokojowe konstatował zawsze z pewnego rodzaju przygnębieniem. W ojca mego również nowy duch wstępował, gdy słyszał o wojnie. Pobicie Piemontczyków w oczach jego równało się zabawce dziecinnej, dla tem większego, też uzasadnienia poglądów w tej mierze sypały się jak z rękawa znów anegdota z czasów „Papy Radeckiego.“ Wobec grożącej lada chwila wojny, o uszy moje obijały się zawsze tylko rozmowy, prowadzone na tle strategicznym, a więc rozważanie wszelkich szans, w jaki sposób i gdzie nieprzyjaciół będzie pobity i jakie korzyści *my* osiągniemy z tego powodu. Czysto ludzki punkt widzenia rzeczy, a mianowicie, że czy wygrana, czy prze-



grana, każda bitwa wymagać będzie całych potoków krwi i łez, nie wchodził nigdy w rachubę. W grę wchodzące interesy tak wysoko stały ponad dolą jednostek, że wstydziałam się ciasnoty pojęcia mojego, które czasami nasuwało mi myśl: „Jakiż pożytek z wielkiego zwycięstwa odniesie biedny wyrobnik, biedny kaleka, biedna wdowa po żołnierzu?” Jako odpowiedź na te niestosowne pytania, powracały do głowy stare dytyramby, wyjęte z książek szkolnych i głoszące krótko: „Nagroda za wszystko jest sława!” Gdzie ta sława podzieje się wtedy, gdy zwycięży nieprzyjaciół?

Takie pytanie rzuciłam pewnego razu w kole naszych przyjaciół wojskowych; zagłuszono mnie jednak haniebnie. Już samo napomknięcie o możliwości ukazania się cienia jakiegoś, jakiegoś powątpiewania, jest czynem niepatryotycznym, do obowiązków bowiem dobrego żołnierza należy i ten także, ażeby uważał się za niezwyciężonego. Jeżeli takim jest obowiązek oficera, to niemniej obowiązek ten przechodzi na lojalnie usposobioną jego małżonkę.

\* \* \*

Pułk mojego męża stacyonowany był w Wiedniu. Z okien naszego mieszkania rozpościerał się widok na Prater, gdy zaś te okna się otworzyło, do pokoiów wpływał prąd ciepłego powietrza. Wiosna była wówczas przepiękną, powietrze letnie przesyciła woń siołków, wcześniej też, aniżeli to bywa lat innych, strzelały z drzew młode, świeże liście. Za miesiąc rozpocząć się miało owo słynne corso powozów w Praterze, z czego cieszyłam się niewy-

mownie, dla wzięcia w nim bowiem udziału kupiliśmy sobie zabawkę-powozik, zaprzężony w czwórkę jukerów węgierskich. Korzystając z wyjątkowo pięknych dni kwietniowych, prawie codziennie wyjeżdżaliśmy na spacer w aleje Prateru, jednakże był to tylko przedsmak prawdziwej zabawy, jaka nas oczekiwała w maju. Ach! gdybyż przynajmniej do tego czasu nie wybuchnęła wojna!...

— No! Bogu dzięki, nareszcie niepewność się skończyła—zawołał mąż mój, gdy rano w dniu 19-ym kwietnia powrócił z mustry do domu. — *Ultimatum* już postawione!

— Co—jak—co to znaczy? — rzekłam przełknięta?

— Znaczy to, że wypowiedziano ostatnie słowo dyplomatycznych układów, słowo poprzedzające wypowiedzenie wojny. Ultimatum nasze żąda od Sardynii, ażeby się rozbroiła, czego ona naturalnie nie uczyni, a wtedy my przekroczymy granicę.

— Boże wielki! — zawołałam — a może jednak oni się rozbroją?

— W takim razie spór zostałby załagodzony i pokój trwałby dalej.

Padłam na kolana, chwila to była tak ważna, że nie mogłam zrobić nic innego. Bez słów, a jednak gorąco bił w niebo krzyk mój i prośba moja do Boga: „Pokoju, pokoju, o Boże!”

Arno podniósł mnie z ziemi i rzekł:

— Nie wystawiaj się na śmieszność, nie jesteś przecież dzieckiem!...

Rękoma moimi opasałam mu szyję i zaczęłam płakać, a chociaż łzy moje nie płynęły jako wylew



boleści, nieszczęście bowiem nie było jeszcze zdecydowane, to jednak już wiadomość sama wpłynęła tak na moje nerwy, że drżałam, a łzy lały się strumieniem.

— Marto, Marto—upominał mnie Arno—chyba nie chcesz, ażebym się gniewał. Czyż ty nie jesteś dzielną towarzyszką wojaka, czyliż zapominasz o tem, że ojcem twoim jest generał, mężem porucznik i— że zowiesz się matką podoficera?

— Nie, nie, drogi mój Arno, samej siebie nie mogę zrozumieć... to tylko taki raptowny napad rozrzewnienia... toć ja sama zapalam się do sławy wojennej... ale sama znów nie wiem, co się stało, że przed chwilą, gdy mówiłeś, iż wszystko zależy od jednego słowa, które ma być teraz wypowiedziane, od tego tak zwanego „Ultimatum“, gdy mówiłeś, iż jedno *tak* albo *nie* ma stanowić o śmierci albo ranach całych tysięcy, iż w tych wonnych dniach wiosennych mogliby wskutek tego umierać ludzie — nie wiem dlaczego, ale zdawało mi się, że tylko jeden wyraz *tak*, zwiastujący pokój, powinien być wypowiedziany. Nie mogłam też uczynić nic innego, jak na kolanach bardzo prosić Boga o jedno, jedyne, małe *tak*.

— Ach ty, blazenku kochany, ty chciałaś Panu Bogu w modlitwie przedstawić nasze położenie rzeczy!

W tej chwili rozległ się dzwonek w przedpokoju, szybko więc otarłam łzy, bo i ktoby to mógł być o tak wczesnej porze?

Do pokoju nie wszedł, ale wpadł szybko mój ojciec i rzucił się na fotel.

— No i cóż, dzieci, wiecie już o najświeższej, wielkiej nowinie, że ultimatum?..

— Właśnie opowiadałem Marcie o tem...

— Jakiego zdania ojciec jest w tej mierze — zapytałam trwożliwie — czy odwróci to wojnę?

— Nie znam wypadku, ażeby ultimatum kiedykolwiek nie wywołało wojny. Co prawda, najrozmiejby było ze strony tej holoty włoskiej, gdyby sfolgowała i nie narażała się na nową Nawarę. Ej, gdyby to „papa Radecki“ nie był umarł zeszłego roku! Sądzę, że pomimo swoich lat dziewięćdziesięciu, stanąłby raz jeszcze na czele wojska i ja, jak mi Bóg miły! jeszczebym z nim pomaszzerował! Pokazaliśmy już raz we dwóch, jak się z tą bandą fałszywców załatwiać trzeba na krótkim toporzysku, ale nie dość im tego, tym wichrzycielom, pragną otrzymać drugą lekcyę, a więc dobrze! Nasze lombardzko-weneckie królestwo wcale nieźle się zaokrągli, gdy się do niego przyłączy Piemont. Widzę, jak wojska nasze wkraczają do Turynu.

— Ojciec to tak mówi, jak gdyby wojna już była wypowiedzianą i jak gdyby ojciec był z tego zadowolony. Co się stanie, jeżeli Arno będzie musiał także pójść na wojnę?

Łzy zabłysły nanowo w moich oczach.

— Naturalnie, że pójdzie! Prawdziwie godzien zazdrości młodzieniec.

— Ależ... czyż nic nie znaczy, gdy on znajdzie się w niebezpieczeństwie...

— Furda niebezpieczeństwo! Z wojny powraca się także do domu, jak uczy choćby doświadczenie na mojej osobie. Przebyłem ja więcej niż jedną kampanię, Bogu Najwyższemu dzięki, więcej niż raz



jeden byłem ranny, a jednak żyję, bo już mi tak było przeznaczone, ażebym pozostał przy życiu.

Jakiż to frazes fatalistyczny i staroświecki! Ten sam frazes decydował przy obiorze zawodu dla naszego Ruru i teraz znów wlać miał do mojej głowy część mądrości życiowej.

— Gdyby pułk mój nie miał być odkomenderowany... — wszczął Arno.

Ale ja przerwałam, czepiając się radośnie tej myśli:

— Prawda, jeszcze ta nam została nadzieja...

— To wtedy — dokończył — poproszę, ażeby mnie, o ile możliwości, przetranslokowano.

— Możliwość zawsze się znajdzie — zapewnił ojciec. — Hess otrzymuje komendę naczelną, a to przecież dobry mój przyjaciel.

Serce kołatało mi w piersi, a jednak nie mogłam nie podziwiać tych dwóch mężczyzn, gdy z taką wesołą obojętnością mówili o przyszłej wojnie, jak gdyby tu chodziło o zwykłą, uplanowaną z góry przechadzkę. Arno, ten mój waleczny Arno, chciał nawet jako ochotnik iść na wroga, chociaż nie nakazywał mu obowiązek, wielkoduszny zaś mój ojciec znajdował tę ochotę jego prostą i zupełnie naturalną. Zebrałam wszystkie siły i poczułam się mężną. Precz z tą dziecinną trwożliwością kobiecą! Teraz należy okazać się godną tych ukochanych, stać się wyższą ponad wszystkie egoistyczne obawy, do umysłu i do serca dać trzeba przystęp jednemu tylko uczuciu i wołać: patrzcie, mój mąż jest bohaterem! Poskoczyłam przeto ku niemu i ujawszy obie jego ręce w moje dłonie, zawołałam:

— Arno! dumną jestem z ciebie!

On ręce moje podniósł do ust, zwróciwszy się zaś ku ojcu, rzekł z przeblyskiem radości w twarzy:

— Dobrze wychowałeś córkę swoją, teściu!

\* \* \*

Odrzucone! Ultimatum odrzucone! Tak powiedziano w Turynie dnia 26 kwietnia! Kości rzucone — wojna wszczęta.

Pomimo, że na katastrofę byłam od tygodnia już przygotowana, wiadomość ta zadała cios sercu memu, rzuciłam się przeto na kanapę, głowę skryłam w poduszkach, gdy Arno przyniósł do domu tę nowinę. Usiadł przy boku moim i zaczął mnie pocieszać:

— Dziecko moje, odwagi trochę, panowania nad sobą! Dotąd niema jeszcze nic złego... wkrótce jako zwycięzcy wrócimy w progi domowe, a wtedy... podwójnie będziemy szczęśliwi... nie płacz, najdroższa. serce mi krwawisz i żałować prawie zaczynam, że prosiłem o to, ażeby mnie przeznaczono na plac boju... Lecz nie, bo i pomyśl, proszę, jeżeli towarzysze moi mają narażać się na niebezpieczeństwa, to dla czego ja miałbym siedzieć w domu! Ty sama wstydziłabyś się, mając takiego męża... Raz ostatecznie muszę być ochrzczony w prochu i dymie, dopóki zaś to nie nastąpi, nie będę czuł się naprawdę ani żołnierzem, ani człowiekiem. Pomyśl, czyż to nie będzie ładnie, gdy powrócę z nową odznaką na kołnierzu, a może nawet z krzyżem na piersi!...

Głowę moją złożyłam na jego ramieniu i płakałam ustawicznie. Jakież naiwne myśli rodziły mi się wtedy w głowie!



Te gwiazdy, te krzyże w tej właśnie chwili wyglądały nakształt marnych błyskotek! Nie jeden, ale dziesięć krzyżów jeszcze nie dałyby mi żadnego zadasyćczynienia, gdyby te piersi, co straszną było możliwością, roztrzaskała kula nieprzyjacielska...

Arno ucałował mnie w czoło, odsunął lekko i wstał.

— W tej chwili odejść muszę, najdroższa; pójdę do pułkownika, ty wypłacz się tymczasem, a spodziewam się, że gdy powrócę, znajdę cię mężną i wesoło usposobioną. Potrzeba mi wesołości twojej, inaczej bowiem smutne przecucia opanują duszę moją. Teraz, w chwili tak stanowczej, nie zechcesz chyba uczynić nic takiego, coby odebrało mi odwagę i chęć do czynów! Do widzenia, aniołku!

I poszedł... Zerwałam się z kanapy, słowa jego ostatnie brzmiały mi ciągle w uszach. Tak, to było jasne, obowiązkiem moim teraz nie odbierać odwagi i chęci do czynu, lecz przeciwnie, wedle możliwości je rozbudzać. Jedyna to osłoda, pozostawiona nam, kobietom, jedyna droga do okazania naszego patriotyzmu i do podzielenia się sławą, jaką mężowie nasi zdobywają na polu walki.

„Pole walki!” Rzecz dziwna, jak te dwa wyrazy utkwiły na razie w umyśle moim. Walka — to rzeź, zrozumiana w dawnym sensie patetycznym... Walczyć — znaczy iść na rzeź, ci zaś biedni, w dal spędzeni ludzie, umierać mają z otwartymi, czerwonymi ranami, gdzieś na „polu,” a pomiędzy nimi może... myśli mojej nie dopowiedziałam do końca i znów upadłam na ziemię. Krzyk mój przeszył powietrze!..

Krzyk ten usłyszała służąca moja i wpadła wyłęknioma do pokoju:

— Na miłość boską, pani hrabino, coś się stało? — zapytała trwożnie.

Spojrzałam na tę dziewczynę i ona miała czerwone od płaczu oczy. Reszty łatwo już mi się było domyśleć; wiedziała, co się stało, a jej ukochany był żołnierzem. W duszy mej zrobiło się tak, jak gdybym powinna była do serca przycisnąć tę siostrę boleści.

— Nic się nie stało, moje dziecko — na zapytanie jej odrzekłam łagodnie — ci, którzy od nas teraz odchodzą, powrócą znów w zdrowiu.

— Ach! proszę łaski pani hrabiny, nie wszyscy wrócą — odpowiedziała i łzy, niekrępowane niczem, pociekły po jej twarzy.

W tej chwili weszła do pokoju ciotka moja i Beiti musiała się oddalić.

— Przyszłam tu, moja Marto, ażeby cię pocieszyć — zaczęła ciotka, obejmując mnie czule — i ażeby w tem pierwszym doświadczeniu twojem życiowym nakłonić cię do poddania się woli Boskiej.

— Więc ciocia wie już o wszystkim?

— Nietylko ja, ale całe miasto wie doskonale i wielka panuje wszędzie radość, wojna ta bowiem jest popularną wszędzie, u szerokich warstw ludności.

— Radość, co ty mówisz, ciociu?

— Radość zapanowała oczywiście u tych, którzy nie mają blizkich w rodzinie, a zmuszonych ciągnąć na wojnę. Że ty musisz być smutną, domyślałam się odrazu i dlatego tak szybko przybiegłam do ciebie. Zaraz przybędzie również twój ojciec, nie



ażeby cię pocieszać, ale, ażeby ci powinszować. Ojciec twój nie posiada się z radości, że wojna wybuchnęła, i uważa to za znakomite pole do popisu dla twojego Arna. W gruncie rzeczy ma on zupełną rację, dla żołnierza niema nic lepszego nad wojnę, w ten sposób powinnaś patrzeć na wszystko, wypełnienie bowiem obowiązku, jaki przywiązany jest do zawodu, góruje nad drobnostkami. Co się stać musi...

— Masz rację, ciociu, co się stać musi, co jest nieuchronne...

— Co Bóg nam przeznaczył — wtrąciła ciotka Marya z siłą.

— To trzeba znieść w poddaniu i w pokorze.

— Tak, moje dziecię — ciągnęła dalej ciotka — w szczęściu i dostatku zapominają ludzie bardzo łatwo o Zbawiciela swoim, skoro jednak przyjdzie choroba, albo gdy wisi nad nami niebezpieczeństwo śmierci, albo, co więcej znaczy, gdy ktoś z drogich nam tego niebezpieczeństwa jest blizkim, gdy przynębienie nas pokona, a troska osiadzie na czole, wtedy...

Długo jeszcze w tym tonie mówiłaby ciotka, ale drzwi raptownie otwarto i jak bomba wpadł do pokoju mój ojciec.

— Wiwat! teraz się zaczyna — brzmiało jego powitanie — ta hołota chce koniecznie dostać w skórę! Niech biorą, niech biorą zdrowo!...

\* \* \*

Gorące to były czasy! Wojna wybuchnęła i zapomniano, że idą mocować się z sobą dwie wielkie masy ludzkie. Sam fakt tłómaczono w sposób taki, jak gdyby było jeszcze nad temi dwiema masami coś

„trzeciego“ i jak gdyby to „coś“ zmuszało ludzi do brania się wzajemnie za bary. Odpowiedzialność całą zrzucano na tę siłę, której wola jednostki nie mogła przeciwdziałać, siłę rządzącą losami historii ludów. W ten sposób ciemny, a jednak pełen szacunku tłómaczą sobie ludzie okropność wojny. Takie też było i moje pojęcie. Nie było mowy, ażeby uczucie moje wzdrygać się miało na prowadzenie wojny wogóle i jeżeli cierpiałam, to tylko dlatego, że *po między innymi* mąż mój poszedł i narażał się na niebezpieczeństwa, podczas gdy ja schłam w samotności i tęsknocie. Z czasów nauki mojej wydobyłam na wierzch wszystkie wrażenia, jakie odnosiłam przy wykładach historii, chciałam bowiem wzmocnić w sobie i utrwalić pojęcie, że szczytem powinności człowieka, tej powinności, która nawet najdroższej istoty dla mnie nie oszczędziła, jest okrycie się sławą i zaszczytami. Zdawało mi się, że żyję w czasach, które tworzą epokę historyczną. Myśl to była w swoim rodzaju podniosła, rozumowałam bowiem sobie, że jeżeli od Herodota i Tacyta począwszy, a skończywszy na historykach ostatniej doby, wszelkie wojny uważane były za najważniejsze i najbardziej skutkami ciężarne wypadki, to i w tej chwili dla przyszłych dziejopisów otwiera się nowy rozdział historii powszechnej.

Nastrój tak wysoki i przecenianie wypadków panowało zresztą ogólnie. O niczem więcej nie mówiano po salonach i po ulicach, nic innego nie czytano w gazetach, o nic innego nie modlono się w kościołach, a gdzie przyszedłeś, wszędzie napotykałeś jedne i te same rozdenerwowane twarze, wszę-



dzie słyszałeś jedne i te same żywe omawiania możliwych wyników wojny. Pobieżnie traktowano zupełnie wszystko, co zwykle skupia około siebie ludzi inteligentnych, a więc: teatr, handel, sztukę. W obec tego wiru zdawało się człowiekowi, że on niema prawa myśleć o niczem innem wtedy, gdy się waży losy historii świata. Te przeróżne rozkazy dzienne, pełne znanych, a zapewniających zwycięstwo lub przyrzekających sławę frazesów; te pulki maszerujące na plac boju wśród muzyki ogluszającej i powiewu sztandarów; te artykuły wstępne lojalne, a jednak pełne zagrzewających w patryotyzmie okrzyków; te odezwy publiczne; te ustawiczne mowy i wezwania do cnoty, honoru, obowiązku, mężstwa, poświęcenia; te wzajemnie sobie czynione zapewnienia, że się jest narodem najmężniejszym, przeznaczonym do wielkich czynów i niezwyciężonym—wszystko to taką heroiczną wytwarzało atmosferę, że każdy członek społeczeństwa napelniał się dumą i w każdego człowieka wstępowało przekonanie, iż on swojego czasu wielkim jest obywatelem.

Wszystkie zte przywary, jak: chęć zdobycia, pochop do bójki, nienawiść, okrutność, fałsz, choćby one objawiły się nawet w wojnie w oczywisty sposób, to zawsze tylko u „nieprzyjaciela.“ *Nieprzyjaciela* podłość uwidocznia się zawsze. Obojętną jest rzeczą, czy wyprawa wojenna była koniecznością polityczną, obojętną także, jakie korzyści odniesie naród, głównym celem jest zwyciężenie wroga, bo to dzieło moralności, naznaczone przez geniusza cywilizacji, gwoździ poskromienia pyszałków. Ci Włosi! jakież to naród leniwy, fałszywy, zmysłowy, lekkomyśl-

ny i próżny! Albo znów ten Ludwik Napoleon! Czyż to nie wyrzutek, pozbawiony honoru, duch demoniczny, intrygujący! Kiedy w dniu 29 kwietnia ogłoszono manifest jego wojenny z nagłówkiem: „Wolne Włochy aż do morza Adryatyckiego“ — wywołało to u nas jeden okrzyk oburzenia. Pozwoliłam sobie wtedy zrobić małą uwagę, że właściwie jest to bardzo piękna i bezinteresowna idea, mogąca na patryotów włoskich oddziaływać podniosło, ale zmuszono mnie wkrótce do milczenia. Dogmatem stało się wyrażenie, że „Ludwik Napoleon jest łotrem“ i dopóki był „nieprzyjacielem naszym,“ nie wolno było nic przeciwko temu dogmatowi powiedzieć. Wszystko, co od Napoleona wyszło, już z góry uważane było za „łotrowstwo“.

I znów budzić się zaczęło w duszy mej powątpiewanie. Rozczytując się w dziełach historycznych, zawsze u opowiadającego znajdowałam sympatię dla tej strony, która pragnęła zrzucić z siebie obce jarzmo i która dla siebie wywalczyć chciała wolność. Nie miałam wprowadzić jasnego pojęcia o tem, co oznacza ten wyraz „jarzmo,“ ani tem mniej tylokrotnie a niebotycznie opiewany wyraz „wolność,“ to wszakże leżało dla mnie jak na dłoni, że nie austriacy, ale właśnie naród włoski walczył „dla idei.“ Skromne te uwagi, jeszcze skromniej przezemnie wypowiedane, sprowadziły na głowę moją burzę całą, bo oto ja biedna po świętokradzku targnęłam się na główną zasadę, która głosi, że rząd wszelki, to znaczy ten rząd, pod którym urodziliśmy się wypadkowo, nie może być nigdy jarzmem, jeno błogosławieństwem niebios, że zatem ci, którzyby pragnęli oderwać się od nas, nie będą nigdy rycerzami walczącymi o wol-



ność, ale tylko buntownikami i... że w końcu my pod każdym względem zawsze i wszędzie jesteśmy w swoim prawie.

W początkach maja, a były to dni zimne, deszczowe (piękne, wiosenne, słoneczne powietrze, tworzyłoby tem boleśniejszy kontrast z moją duszą), pułk, do którego odkomenderowano Arna, wymaszerował w pole. Godzina 7-ma rano... Ach! ta noc poprzedzająca, ta noc okropna! Gdyby ten mój najdroższy był wyjechał za zwykłymi, żadnych niebezpieczeństw nie przedstawiającymi interesami, jużby mnie wielki ogarnął smutek, bo każda rozłąka z drogimi tak boli, tak boli... Cóż dopiero, gdy rozłączać się przyszło na wojnę, a on miał pierś swoją wystawić na grad kul nieprzyjacielskich. Dlaczego owej nocy przy wymówieniu wyrazu „wojna“ nie mogłam odnaleźć w umyśle swoim tego wzniosłego historycznego znaczenia i tylko uczuwałam zgrozę lub pogroźkę śmierci?

Arno zasnął i leżał na łóżku, oddychając spokojnie, z roz pogodzonem obliczem, ja zaś zapaliłam nową świecę i postawiłam ją za zasłoną. Nie mogłabym była pozostać ani na chwilę po ciemku, o śnie bowiem nie było nawet mowy tej nocy... ostatniej. Teraz musiałam przynajmniej ciągle patrzeć w drogie jego rysy twarzy. Otulona w szlafrok, leżałam przy nim na łóżku, ramię założyłam pod poduszkę, brodę oparłam na dłoni i tak patrzyłam na śpiącego, popłakując cicho.

„Jakże bardzo kocham ciebie, mój ty jedyny, a ty idziesz precz odemnie? Dlaczego tak okrutne nasze przeznaczenie? jak będę żyć bez ciebie? obyś jak najwcześniej powrócił! O Boże, wielki Boże, mi-

łosierny Ojczy, pozwól mu powrócić wkrótce, jemu i wszystkim. Daj nam wkrótce pokój! Dlaczego nie miałyby być pokoju ciągle na ziemi!...

„Myśmy byli tacy szczęśliwi... może aż zanadto szczęśliwi, a na ziemi nikomu szczęście zupełne nie przypada w darze...

„Błogosławioną będziesz mi chwilo, gdy on bez szwanku powróci do domu i znów legnie tak u mojego łona i grozić nie będzie jutrzejszem pożegnaniem... Tak spokojnie leżysz, ty mój skarbie, ty rycerzu waleczny, ale jak tam spać będziesz, kto cię tam do snu ukołysze? Tam nie ma łóża miękkiego dla ciebie, tam spać ci przyjdzie na twardej mokrej ziemi... a może... może gdzieś w rowie przydrożnym — bez pomocy — z ranami na ciele.“

Myśli te tak mnie ogarnęły, że nie mogłam inaczej wystawić go sobie, jak tylko z raną od cięcia pałaszowego na skroni, z której to rany krew spływała strumieniem—albo też z blizną od kuli w piersi... i ból wielki i współczucie gorące opanowało moje serce. Chętnie opasałabym go wtedy ramionami swojemi i całowała go w tym uścisku, ale nie wolno mi było budzić, on snu potrzebował pokrzepiającego. Jeszcze tylko sześć godzin... „Tyk — tak — tyk — tak“, mruczy zegar, a czas bezlitośnie szybko i nie zbacząc bieży w wieczność. Cykanie zegara, to obojętne „tyk — tak — tyk — tak“, sprawiało mi boleść, gniewała mnie także świeca skryta za zasłoną i paląca się równie obojętnie, jak ten zegar cykał, pomimo, że go zdobiła brązowa statuetka amora... czyż te przedmioty nie odczuwały, że ta noc jest nocą — ostatnią?

Lzami nabrzmiałe powieki zapadły, zrozumienie



położenia zacierało się powoli, głowę opuszczałam na poduszki i, lubo nie chciałam tego — usnęłam. Zawsze jednak zasypiałam na krótko, ile razy bowiem umysł mój gubić się zaczął w śnie niewyraźnym, tyle razy serce chwytając nagle kurcz i budziłam się z tem samem uczuciem przestachu, z jakim budzi się człowiek, gdy posłyszysz wołanie o ratunek lub dzwon zwiastujący pożar... Mój dzwon dzwiewał ustawicznie jednemi wyrazami: „bądź zdrowy — bądź zdrowa“! Przy dziesiątem, czy dwunastem przebudzeniu spostrzegłam, że dzień się robi. Świeca dogasała, zapukano do drzwi.

— Szósta godzina, panie poruczniku — zameldował ordynans, który dzień przedtem otrzymał rozkaz, ażeby obudził w porę.

Arno zerwał się z łóżka...

A więc... nadeszła teraz ta godzina — teraz rzucić sobie mamy to bolesne ach! jak bolesne słowa pożegnania!...

Umówiliśmy się przedtem, że nie odprowadzę go na kolej, bo i cóż znaczył jeden kwadrans mniej albo więcej!... Zresztą boleści mojej i męczarni w ostatniej chwili rozstania nie chciałam odsłaniać do naga przed ludźmi obcymi. Sama chciałam pozostać w pokoju, gdy ostatni z sobą zamienimy pocałunek, sama, ażeby potem rzucić się na ziemię i ryczeć i wyć z boleści.

Arno ubierał się szybko i podczas tego mówił, dodając mi otuchy:

— Odważnie, Marto! Najdalej za dwa miesiące skończy się cała historia i ja znajdę się wtedy w domu. Do licha! na tysiąc kul trafia tylko jedna i ona we mnie miałaby właśnie uderzyć!... Inni bywali

także na wojnie, a jednak powrócili, ot! naprzykład twój ojciec. Raz wreszcie przyjsz do tego musiało! Idąc za oficera od huzarów za męża, nie przypuszczałaś chyba, że jego rzemiosłem będzie hodowla hacynatów? Często będę pisywał do ciebie, tak często, jak tylko będzie możliwe, raportować ci wtedy będę o tem, jak wesoło i swobodnie odbywa się cała kampania. Gdybym przeczuwał, że coś złego mnie spotka, nie byłbym taki wesoły i swobodny... idę zdobyć order na piersi, nic więcej... tymczasem zważaj pilnie na siebie i miej na oku naszego Ruru, który, jeżeli ja awansować będę, także o jeden stopień posunie się w górę. Nie chcę powtarzać wczorajszego wieczornego pożegnania, ucałuj go przeto odemnie... i jemu sprawi radość, jeżeli kiedyś ojciec mu opowie, że w słynnym roku 59 przy wielkich zwycięztwach włoskich brał udział...

Połykałam każde jego słowo, pewność jego bowiem kojąco wpływała na duszę. Tak chętnie, tak wesoło szedł na bój, że boleść moja wydawała mi się teraz egoistyczną, a więc nieusprawiedliwioną.

Znów zapukano do drzwi:

— Już czas, panie poruczniku!

— Jestem już gotów, idę zaraz.

Wyciągnął ku mnie ramiona:

— Teraz... Marto, żono moja, skarbie mój jedyny...

Padłam w jego objęcia i nie mogłam się zdobyć na to, ażeby przez usta moje przemknęły wyrazy „Bądź zdrow“ Czułam, że wypowiedzenie tych słów wywołałoby omdlenie... ja nie chciałam spokoju jego, pogody umysłu zatruć płaczem swoim, wybuch bólu



zachowałam sobie jako rodzaj nagrody w chwilach samotności.

Ale on wyrzekł rozzdzierające serce wyrazy:

— Bądź zdrowa, tyś mi wszystkim na ziemi, bądź zdrowa — i wargi swoje wpił w moje usta.

Nie mogliśmy się rozłączyć z tego uścisku — wszak to uścisk był ostatni! Nagle czuję, że wargi jego drgają, że pierś drga kurczowo... i wypuścił mnie ze swojego objęcia, twarz zakrył obiema rękoma... i zakał głośno.

Tego było już dla mnie za wiele! Zdawało mi się, że zmysły postradam.

— Arno, ach! Arno — wołałam, tuląc się do niego gorączkowo — pozostań, pozostań!

Wiedziałam, że wymagam rzeczy niemożliwych do spełnienia, pomimo to jednak wołałam zawzięcie:

— Arno, ach! Arno, pozostań!

— Panie poruczniku — dał się słyszeć głos z zewnątrz domu — już czas najwyższy.

Jeszcze jeden całus — najostatniejszy — i Arno wybiegł z domu.

\* \* \*

Szarpie skubać, odczytywać raporty w gazetach, zatykać szpilkami, zaopatrzonymi w chorągiewki, miejsca na mapie, ażeby w ten sposób podążać za ruchami wojsk walczących z sobą i ażeby wyciągać z tego wnioski w rodzaju zadań szachowych, brzmiałych: „Austria ciągnie i daje mata za czwartym posunięciem,“ w kościele modlić się gorąco o opiekę nad ukochanymi i o zwycięstwo dla oręża ojczystego, o niczem więcej nie mówić, jak tylko o wiadomościach nadchodzących z placu boju — oto, co zapeł-

niało wszystkie myśli moje, oraz krewnych i znajomych. Życie, to zwykłe, szare, pełne przeróżnych spraw i interesów, że tak powiem, zawisło w powietrzu na czas trwania wojny; po za jedynym pytaniem: „jak i kiedy zakończy się ta wojna?“ wszystko inne nie miało żadnego znaczenia. Ludzie jedli, pili, czytali, załatwiali swoje czynności, ale właściwie nic to wszystko nie znaczyło — jedno tylko posiadało pełne znaczenie: telegramy nadchodzące z Włoch.

Momentami najjaśniejszemi w tem życiu stawały się oczywiście wiadomości, jakie otrzymywałam wprost od samego Arna. Krótkie one były bardzo — pisanie listów zawsze stanowiło jego słabą stronę, pomimo to jednak dla mnie największem stawały się szczęściem, jako świadectwo, że on żyje i że nie jest ranny. Regularnie nie mogły oczywiście nadchodzić te listy i telegramy, często bowiem komunikacja była przerwana, albo też, jeśli pułk Arna znajdował się w ogniu, nieczynne były poczty polowe.

Gdy kilka dni minęło, a ja nie słyszałam nic o mężu moim i gdy wtedy ogłoszono listę poległych, z jakąż trwogą odczytywałam nazwiska!... Nerwy podlegały wtedy takiemu napięciu, jak to się zdarza właścicielowi losu loteryjnego przy przeglądaniu tabelki wygranych. Różnica uczuć jest tu inną wszakże zupełnie; wygraną w tem wielkiem nieszczęściu stanowi właśnie to, że się szuka i, Bogu dzięki, nie znajduje, chociaż wszelkie prawdopodobieństwo ma się przeciwko sobie — gracz zaś na loteryi szuka i *chce* znaleźć.

Po raz pierwszy odczytując nazwiska poległych (od czterech dni nie miałam żadnych wiadomości),



gdy zobaczyłam, że nie ma w tym spisie nazwiska „Arno Doczky“ wyciągnęłam ręce ku niebu i zawołałam głośno: „Boże mój! dziękuję Ci za to!“ Zaledwie wymówiłam te słowa, gdy zabrzmiały mi one jak akord wzięty fałszywie. Więc znów wzięłam gazetę do ręki i po raz drugi przebiegłam spis nazwisk. Za co dziękowałam Bogu, czy za to, że na placu boju pozostał jakiś Adolf Szmit, Karol Müller i wielu, wielu innych, ale nie Arno Doczky! Takie samo dziękczynienie biegłoby ku niebu z piersi tych, które drżały o losy Szmita i Müllera, gdyby zamiast nich wyczytano nazwisko „Doczky“? Dlaczego moje właśnie dziękczynienie ma być Niebu miłsze, aniżeli tamtych ludzi? Tak jest, był to akord fałszywy, na dnie leżała bowiem pewna zarozumiałość, samolubstwo, które nakazywało mi wierzyć, że ten Doczky tylko dlatego wyszedł obronną ręką, ażeby mnie nie stała się krzywda. Dziękowałam Bogu, że to nie ja, ale matka Szmita, narzeczona Müllera i setki innych odczytując tę listę, wybuchały płaczem...

Tego samego dnia jeszcze otrzymałam od Arna list krótki:

„Wczoraj mieliśmy nielada przepawę. Niestety! — niestety! zakończyła się ona porażką. Pociesz się jednak, ukochana moja Marto, że najbliższa bitwa przyniesie nam zwycięstwo. Dla mnie była to pierwsza wielka próba. Stałam w samym środku wśród gradu kul — dziwne uczucie... opowiem ci to ustnie. Straszna to rzecz stać wtedy, gdy się widzi biednych chłopców, padających wokół, gdy trzeba ich pozostawić bez ratunku, pomimo, że wydają jęki rozpaczny. „C'est la guerre!“ Do widzenia szybkiego, mój anie-

le. Skoro dojdzie do tego, że w Turynie podyktujemy warunki pokoju, będziesz mogła przyjechać po mnie. Ciotka Marya niechaj będzie tak dobrą i zaopekuj się naszym małym podoficerem, gdy ty udasz się po mnie.“

Jeżeli otrzymywanie takich listów było jaśniejszym promieniem istnienia mojego, to najczarniejsze znów cienie tłukły się po głowie wśród ciszy nocnej. Gdy wtedy budziłam się ze snu błogiego, który mi dawał chwilowe zapomnienie, i gdy straszliwa rzeczywistość z jeszcze straszliwszą możliwością nieszczęścia stawała przed oczyma, to opanowywała mnie taka boleść nie do zniesienia, że godzinami całami nie mogłam usnąć nanowo. Pozbyć nie mogłam się tej myśli, że może w tej chwili właśnie Arno umierający, rżący leży w jakimś rowie, napróżno pragnąc bodaj kropli wody, i tęskni, nawołując mnie... Jedynie wtedy uspakajałam się zwolna, gdy całą siłą imaginacji odtwarzałam sobie szczęśliwą chwilę jego powrotu. Przecież i to było prawdopodobne, prawdopodobniejsze nawet o wiele, aniżeli taka śmierć w opuszczeniu zupełnem! Jasnymi kolorami malowałam sobie ten obrazek, gdy on wpadnie do pokoju, a ja rzucę mu się na piersi, jak go następnie poprowadzę do kołyski Rura i jak weseli będziemy znów i jacy szczęśliwi...

Ojciec mój bardzo był przybity wypadkami, jedna bowiem za drugą same złe przychodziły nowiny. Tedy Montebello, tedy Magenta. I nie tylko ojciec, ale razem z nim cały Wiedeń był przygnębiony. Z taką pewnością siebie spodziewano się z początku, że bez



przerwy nadechodzące wieści o zwycięztwach dadzą okazję do ubierania domów w chorągwie i do odśpiewywania po kościołach *Te Deum*, tymczasem chorągwie powiewały i księża śpiewali, ale tylko — w Turynie... Tam mówiono teraz: „Panie Boże! wychwalamy Cię, że pomogłeś nam do pobicia tych niegodziwych *Te-deschi!*“

— Przypuszczam — mówiłam — że gdyby jeszcze jedna klęska przyszła na nas, pokój będzie zawarty, a w takim wypadku życzyłabym tylko sobie...

— I ty się nie wstydzisz mówić w ten sposób! Lepiej niech się ta kampania zamieni w wojnę siedmioletnią, nawet trzydziestoletnią, byleby nasze oręż odniosło zwycięstwo i bylebyśmy podyktowali warunki pokoju. Od czegoż jest wojna, juścić nie po to chyba, ażeby jak najprędzej się skończyła, w takim bowiem razie możnaby odrazu nie wyruszać z domu.

— Toby też było najlepsze — rzekłam z westchnieniem.

— Jakież to tchórzliwe istoty te wszystkie baby! — zachnął się ojciec. — Nawet ty, w którą wpajano tak dobre zasady o miłości ojczyzny i poczuciu honoru, nawet ty teraz zupełnie jesteś przygnębioną i więcej cenisz swój własny spokój, aniżeli dobro i sławę kraju!

— Gdybym **tak** bardzo nie kochała mego Arna!...

— Miłość męża, miłość rodziny — wszystko to rzeczy bardzo piękne, ale... zawsze stać powinny w drugim dopiero rzędzie.

*Czyż powinny?*

\* \* \*

Lista poległych wykazywała już kilka nazwisk znanych mi osobiście oficerów, pomiędzy innymi znajdował się tam jedyny syn osoby wiekowej, dla której miałam wielkie poważanie.

Owego dnia pragnęłam tę najbiedniejszą z kobiet odszukać. Przykrą mi była i ciężką droga, jaka wiodła mnie do jej domu. Pocieszać nieszczęśliwą? Nie! Co najwyżej mogłam tylko płakać z nią razem. Za obowiązek przyjaźni uważałam jednak pójść do niej, więc wybrałam się w drogę.

Doszedłszy do domu, gdzie mieszkała pani Ullsmann, długo wahałam się, zanim pociągnęłam za dzwonek. Po raz ostatni byłam tu na małym, ale wesołym wieczorku tanecznym. Miła, stara pani domu, sama wówczas pełną była wesela.

— Marto — rzekła do mnie w ciągu wieczoru — my dwie jesteśmy najwięcej godnemi zazdrości kobietami w Wiedniu: ty masz najpiękniejszego męża, ja najdoskonalszego syna. A dziś? dziś *mam* jeszcze męża... *prawdopodobnie*... Kto wie? Bomby i granaty pędzą tam w powietrzu bez przerwy i każda minuta może mi przynieść wdowieństwo... Zaczęłam płakać podedrzwiami. Prawda, jak w porę był ten płacz wtedy, gdy miałam pocieszać? Dzwoniłam, nikt nie wychodził, więc zadzwoniłam po raz wtóry — i znów nic.

Nagle wychylił ktoś głowę z po za drzwi sąsiedniego mieszkania:

— Naprawdę panienka dzwoni, to mieszkanie jest puste.

— Jakto? więc pani Ullsmann wyprowadziła się ztad?



— Przed trzema dniami odstawiono ją do zakładu obłąkanych.

Głowa sąsiadki skryła się znów — i drzwi zamknęto.

Przez kilka minut stałam jak wryta, przed oczami zaś mojemu przesuwały się sceny, jakie się tu musiały odgrywać. Jak okropnie musiała cierpieć ta biedna kobieta, że ból jej znalazł ujście dopiero w pomieszaniu zmysłów.

Ojciec mój chciał, ażeby wojna trwała lat trzydzieści—*dla dobra kraju*...—Ile takich matek przywiezionychby było do ostatniej rozpaczy!

Do głębi duszy wzruszona, zesłam po schodach i postanowiłam złożyć jeszcze drugą wizytę zaprzyjawnionej ze mną młodej kobiecie, której mąż, podobnie jak i mój, znajdował się na teatrze wojny.

Droga wiodła mnie przez ulicę, na której znajdował się tak zwany „dom narodowy“. W domu tym patryotyczne stowarzyszenie niesienia pomocy miało biura swoje. Podówczas nie istniała jeszcze „Konwencya Genewska“, nie znano instytucji „Czerwonego Krzyża“, więc jako zwiastun tych instytucji humanitarnych, utworzyło się stowarzyszenie niesienia pomocy, mające na celu przyjmowanie wszelkich ofiar w postaci pieniędzy, bielizny, szarpi, środków opatrunkowych i t. p. ofiar, jakie wysyłano na plac boju dla biednych rannych. Z wszelkich stron płynęły dary obficie, całe magazyny musiały służyć do ich przyjmowania, a zaledwie jedne zapasy opakowano i wysłano, już gromadziły się nowe.

Weszłam do tego domu, coś przynaglało mnie, ażeby sumę, jaką miałam w sakiewce, wręczyć

komitetowi. Może ta drobna kwota przyniesie pomoc i ratunek cierpiącemu żołnierzowi i matkę jego ochroni od pomieszania zmysłów. Z prezydentem znalazłam się oddawna, zapytałam przeto portyera, czy zastałam księcia Colloredo.

— W tej chwili go niema, jest tylko wiceprezes, baron Suttner.

Wskazał mi, w którą stronę mam się udać, ażeby oddać pieniądze. W tym celu przejść musiałam przez kilka sal, gdzie na długich stołach leżały rzędem obok siebie przygotowane pakunki. Całe stopy bielizny, cygar, tytoniu, a przede wszystkim całe góry szarpi. Dreszcz przeszedł po ciele mojem. Ile ran musi się tam krwawić, jeżeli taka ilość płótna skubanego jest potrzebną do ich pokrycia! Ojciec mój chciał—pomyślałam sobie — ażeby *dla dobra kraju* wojna trwała lat trzydzieści!... Ilu synów tego kraju musiałoby jeszcze pokryć się ranami?

Baron datek mój przyjął z podziękowaniem i na pytania, dotyczące skuteczności stowarzyszenia, najchętniej udzielił różnych objaśnień. Pocieszającym było i radosnem słyszeć, ile dobrego stowarzyszenie czyni nieszczęśliwym.

W tej chwili wszedł posłaniec pocztowy ze świeżo nadeszłymi listami i zameldował, że ma do oddania dwie paczki, pełne przesyłek z prowincyi. Usiadłam na kanapie stojącej w głębi pokoju, ażeby przeczekać wnoszenie tych paczek. Wniesiono je wszakże i umieszczono w innym lokalu, spostrzegłam natomiast, że do biura wszedł starzec, z którego postawy nietrudno było odgadnąć, iż dawniej służył wojskowo.



— Daruj, panie baronie — rzekł, wydobywając swój pugilares i siadając na krzeselku — daruj, że i ja małą cząstkę swoją chcę dorzucić do waszego pięknego dzieła.

To mówiąc, podał banknot stoguldenowy.

— Uważam wszystkich panów, którzy zajęliście się zorganizowaniem stowarzyszenia za aniołów opiekuńczych, sam bowiem jestem starym żołnierzem — przy tych słowach przedstawił się baronowi jako feldmarszałek-porucznik X. — mogę też doskonale ocenić, jakie ogromne dobrodziejstwa wyświadczaacie tym biednym chłopcom, którzy się biją tam daleko. Przeżyłem wojny z 1809 i 1813 roku; wtedy nie było takich patriotycznych stowarzyszeń pomocy, nie posyłano rannym poduszek ze środkami opatrunkowymi i szarpiami. Krew ubiegała setkom i tysiącom, gdy felczerom zabrakło zapasów, a jednak iluż to z nich dałoby się uratować, gdyby już wówczas pomyślano o takich, jak dzisiaj, przesylkach. Błogosławioną jest wasza praca, zacni i dobrzy panowie, sami może nie wiecie, ile dobrego czynicie bliźnim.

Przy tych słowach dwie łzy spadły na siwy wąs starca.

Z zewnątrz gmachu dochodzić zaczął uszu naszych zmieszany odgłos kroków szybkich i rozmów. Wtem drzwi otwały się na oścież i stojący przy nich gwardzista zawołał:

— Jej cesarska mość najjaśniejsza pani!

Wiceprezes szybko pobiegł ku drzwiom, ażeby, jak tego wymaga etykieta, dostojnego gościa przyjąć na pierwszym stopniu schodów, było to wszakże za późno, gdyż cesarzowa weszła już do sali przyległej.

Ukryta w głębi pokoju, z podziwem patrzyłam na młodą monarchinię, wyglądającą w skromnej sukni jeszcze piękniej, niż w pełnych przepychu toaletach przy uroczystościach dworskich.

— Przyszłam tu dlatego — rzekła Elżbieta do barona Suttnera — że otrzymałam dziś rano list od cesarza z placu boju, w którym pisze mi o wielkim pożytku, jaki przynoszą dary patryotycznego stowarzyszenia. Pragnęłam przeto osobiście przyjrzeć się temu i zawiadomić komitet o uznaniu cesarskiem dla jego pracy.

Rzekłszy to, kazała się wtajemniczyć we wszelkie szczegóły i przyglądała się dokładnie rozmaitym nagromadzonym tu przedmiotom.

— Przypatrz się, hrabino — odezwała się do towarzyszki swej, damy dworu, przyczem wzięła do ręki jakąś część bielizny — jakie to dobre płótno i jak dobrze szyte.

Następnie poprosiła wiceprezesa, ażeby ją oprowadził po innych lokalach i w jego towarzystwie opuściła salę, odzywała się przytem z widocznym zadowoleniem, słyszałam bowiem jeszcze, gdy mówił:

— Piękne to, prawdziwie patryotyczne przedsięwzięcie, które tym biednym żołnierzom...

Reszty słów nie mogłam zrozumieć, ale długo brzmiały mi w uszach — z taką pełnią litości wymówione wyrazy. „biedni żołnierze!“ Istotnie, *biedni*, im więcej się też czyni, ażeby nieść im pociechę i pomoc, tem lepiej. — „Czy jednak — przesunęła mi się w owej chwili myśl przez głowę — czy jednak, gdyby tych biednych ludzi nie narażano wcale na te niedole, nie byłoby to tysiąc razy lepiej?“



Stłumiłam w sobie wszelkie refleksye, bo przecie...—tak! przecie być musi—tak być musi! Niema innego wytłómaczenia na całą ohydę prowadzenia wojny, po nad ten jeden wyraz „*musi*.“

I poszłam znów w swoją drogę. Przyjaciółka, którą pragnęłam odwiedzić, mieszkała opodal na Kohlmarkcie. Ujrawszy po drodze księgarnię, wstąpiłam ażeby kupić sobie nową mapę Włoch Górnych, nasza bowiem mapa od szpilek z chorągiewkami zupełnie już była podziurawiona. Oprócz mnie jeszcze kilka innych osób znajdowało się w sklepie, wszystkie zaś one pragnęły mieć mapy, szematy i t. p. Przyszła kolej i na mnie.

— Czy i pani mam służyć mapą teatru wojny?—zapytał księgarz.

— Odgadł pan myśli moje.

— Rzecz to wcale nietrudna, gdyż my prawie nic innego teraz nie sprzedajemy

Przyniósł, czego żądałam, a podczas gdy owijał w papier mapę, mówił do stojącego obok mnie pana:

— Tak to jest teraz, panie profesorze, zle czasy nastaly dla tych, którzy piszą albo wydają dzieła naukowe lub beletrystyczne, o te bowiem nikt teraz się nie zapyta. W czasie wojny życiem duchowem nie interesuje się nikt zgoła. Dla literatów i księgarzy zle to bardzo czasy

— Te zle czasy nastaly nietylko dla nich — odparł profesor — cały naród z braku zainteresowania się rzeczami podnioslejszemi upada duchowo.

I wobec tego mój ojciec — pomyślałam po raz trzeci dnia tego — pragnie, ażeby wojna trwała lat trzydzieści...

— Żle zatem idą interesa pańskie? — wtrąciłam się głośno do rozmowy.

— Nietylko moje, łaskawa pani, ale wszystkich, wszystkich—odpowiedział księgarz — z wyjątkiem bowiem dostawców dla armii, niema kupca, któremuby wojna nie przyniosła szkód, nie dających się obliczyć. Wszystko jest w zastoju: po fabrykach ustały prace, pola leżą nieuprawne, tysiące ludzi pozostało bez zarobku i bez chleba, papiery publiczne spadły, natomiast *agio* poszło w górę, cała przedsiębiorczość zanikła, liczne domy handlowe zmuszone są ogłosić bankructwo — słowem, krótko mówiąc, zapanowała nędza.

A mój ojciec pragnął...—powtórzyłam sobie w duszy, opuszczając księgarnię, i nie dokończyłam.

\* \* \*

Przyjaciółkę zastałam w domu. Hrabina Laura Griesbach pod wielu względami była w podobnem do mojego położeniu. Córka generała—podobnie jak i ja, od niedawnego czasu zamężna za oficerem—jak i ja, a dziś... słomiana wdowa—jak i ja. Pod jednym tylko względem przewyższała mnie ona: nietylko męża miała na wojnie, ale jeszcze dwóch braci.

— Niech ci Bóg nagrodzi, Marto, żeś mnie odwiedziła, bardzo to pięknie z twojej strony. Wyglądasz mi jednak tak blada i znękana... no! ależ chyba nie nadeszła żadna smutna nowina z placu boju?

— Bogu Najwyższemu dzięki, nie nadeszła, ale to wszystko razem takie jest smutne.

— Zapewne, jeżeli masz na myśli klęskę Nie



powinnaś jednak brać tego zbyt wiele do serca, najbliższe raporty mogą nam donieść o zwycięstwie.

— Czy zwyciężyć, czy być pobitym, nie wpływa to na przekonanie moje, że wojna, sama przez się, jest już czemś okropnem. Czyż nie byłoby lepiej, ażeby wogóle ustały wojny?

— Na co byłoby w takim razie potrzebne wojsko?

— Prawda, na co? — zadumałam się nad tem i odrzekłam:—Ha! nie byłoby go wtedy wcale.

— Jakież ty nonsensa mówisz, kobieto! Wiesz, jekież to miłe byłoby wtedy życie! Sami ludzie cywilni—brr! zimno mi się robi! na szczęście, jest to niemożliwe.

— Niemożliwe! może masz i rację, trzeba tak wierzyć, inaczej bowiem trudnoby mi było zrozumieć, że się to już dawniej nie stało.

— Cóż się miało stać?

— Zniesienie wojen.

— Eh! co też ty mówisz. Czyż nie lepiej, że wybuchnęła wojna, spodziewam się bowiem, że się na niej odznaczy mój Ludwik. Dla moich braci również nadarzyła się niezła okazja; awans w ostatnich czasach odbywał się tak wolno, a teraz mają przynajmniej jakieś nadzieje.

— Czy dawno nie otrzymałaś wiadomości — przerwałam — czy wszyscy twoi zdrowi?

— Prawdę mówiąc, dosyć dawno nie miałam żadnej wiadomości; ale wiesz chyba, że komunikacja pocztowa często bywa przerywana; przytem, gdy się powróci z gorącej przeprawy albo uciążliwego marszu, jest się tak znużonym, że odchodzi wszelka

ochota do pisania. Ja zupełnie jestem spokojna, zarówno Ludwik, jak i bracia moi, noszą na piersiach amulety poświęcane—mama je sama zawiesiła im na piersiach.

— Jakże ty sobie wyobrażasz wojnę, Lauro? Przypuść, że w obydwóch szeregach walczących każdy mężczyzna nosi jakiś amulet! Czy myślisz, że kule, padające w tę i tamtą stronę, dobrotliwie, nie czyniąc nikomu szkody, zawisną w obłokach?

— Nie rozumiem cię, widzę tylko, że jesteś dziwnie obojętna w rzeczach wiary, na co często skarży się twoja ciotka.

— Dlaczego nie odpowiadasz mi jednak na pytanie?

— Dlatego, że w tem pytaniu tkwią drwiny z rzeczy, które dla mnie są święte.

— Drwiny? Broń Boże! Najprostsze rozumowanie.

— Wiesz przecież, że to grzech przypisywać rozumowi swojemu taką siłę, iżby on wyrokować mógł o kwestjach, które są zbyt wzniosłe.

— A więc milczę, Lauro, może masz i rację, że te rozmyślenia i dociekania nie przydadzą się na nic. Od pewnego czasu opanowują mnie wszelkiego rodzaju powątpiewania, które burzą gmach najdawniejszych przekonań moich, ile zaś razy mnie opadną, uczuвам mękę wielką. Gdybym przestała sądzić, że rozpoczęcie tej wojny było nieodzowną potrzebą, wtedy przebaczyłbym nie mogła tym, którzy...

— Ach! ty mówisz o Ludwiku Napoleonie? Naturalnie, że to intrygant.

— Czy on, czy inni, wszystko mi jedno, mnie



potrzeba wiary w to, że nie ludzie wogóle spowodowali tę wojnę, ale że ona „wybuchnęła” sama z siebie, jak febra, jak wybuch Wezuwiusza.

— Egzaltowana z ciebie osóbką, moja droga, siadaj zatem, pomówimy rozsądnie. Posłuchaj mnie. Niezadługo zapewne skończy się kampania i mążowie nasi powrócą już w randze rotmistrzów. Wtedy będę się starała namówić męża mego, ażeby wziął cztero lub sześciotygodniowy urlop i wyjechał ze mną do wód. Dobrze mu zrobi taki odpoczynek po tylu trudach poniesionych i mnie pomoże po tem życiu gorączkowem, pełnem tęsknoty i nudów. Nie wyobrażaj sobie, jakoby wcale nie miała nieco strachu, o nie! Wola Boska może zrządzić, że ktoś z moich ukochanych znajdzie śmierć na polu bitwy, a chociaż piękny to zgon, zazdrości godzien, taka śmierć na polu sławy...

— Mówisz zupełnie, jak manifest do wojska.

Laura nie zauważyła smaku słów moich, kończyła bowiem rozpoczęte zdanie:

— To jednak byłoby okropnie... biedna mama moja; ach! coby ona poczęła, gdyby Gustawowi albo Karolowi miało się cośkolwiek przytrafić... Nie mówmy lepiej o tem. Też, ażeby przyjść do siebie po wszystkich tych przejściach, należy nam się wesóły sezon kąpielowy... Najchętniej pojechałabym do Karlsbadu, gdzie raz tylko byłam, jako dziewczę młode, i bawiłam się świetnie.

— Ja zaś byłam w Marienbadzie, tam poznałam mego Arna... Dlaczegoż jednak tak siedziemy z założonemi rękoma! Może masz w domu trochę płótna, możemy rozmawiać i przytem skubać szarpie. Byłam

dzisiaj w stowarzyszeniu i zgadnij, kto był ze mną równocześnie?

Przerwano nam tę rozmowę, służący bowiem wszedł z listem.

— Od Gucia — wesoło zawołała Laura, rozrywając pieczętkę, zaledwie jednak przeczytała kilka wierszy, papier trzymany wypadł jej z ręki i z łkaniem padła mi na szyję.

— Lauro moja droga, co ci jest, co się stało? — pytałam przerażona.

— Boże! mój Boże! — jęczała nieszczęśliwa — nie mam siły czytać, przeczytaj to sama.

Podniosłam list z podłogi i zaczęłam czytać, treść zaś mogę dokładnie dzisiaj spisać, gdyż wyprosiłam sobie ten list od Laury i umieściłam go w moim pamiętniku.

— Czytaj głośno — prosiła — niech się dowiem całej prawdy.

Uczyniłam zadość jej życzeniom i zaczęłam:

„Najdroższa sestro! Wczoraj mieliśmy gorącą bitwę, dojdzie cię też wielka lista poległych i rannych. Nie chcę, ażebyś ty i ażeby matka nasza biedna dopiero z tego wykazu dowiedziała się o nieszczęściu i dlatego donoszę, ażebyś ją z wolna mogła przygotować (powiedz, że on jest ciężko ranny). W szeregu mężnych, którzy padli za ojczyznę, jest i nasz brat ukochany, Karol.

Przerwałam czytanie i oczy mając pełne łez, tulić zaczęłam przyjaciółkę, a ona rzekła cicho:

— Aż na taki koniec nam przyszło... Czytaj dalej.

„Mąż twój i ja wyszliśmy bez szwanku. Dla czego kula nieprzyjacielska we mnie lepiej nie ugo-



działa! Zazdroszczę Karolowi tej śmierci bohaterskiej, padł on w samym początku bitwy i nie wie, że ta znów... była przegrana. To już zbyt bolesne! Widziałem go, gdy padał, jechaliśmy bowiem obok siebie; zeskoczyłem natychmiast z konia, ażeby go podnieść, rzucił tylko na mnie jeszcze jedno spojrzenie i już było po nim. Kula musiała przejść przez serce albo płuca, śmierć bowiem miał szybką i bez bólu. Szczęśliwszy on pod tym względem od wielu innych, którzy godzinami całymi cierpieli i podczas największego wiru bitwy leżeli w krwi unurzani bez żadnej pomocy, dopóki śmierć litościwa nie wybawiła ich z tej męczarni. Dzień to był morderczej prawdziwie walki, więcej niż tysiąc trupów zaległo pole, wróg i przyjaciel kładli się obok siebie. Pomiędzy zmarłymi natrafiłem na niejedno drogie, kochane oblicze, pomiędzy innymi ujrzałem również tego biednego...

Tu kończyła się pierwsza stronica listu i trzeba było przewrócić kartę...

„tego biednego Arna Doczky'ego“.

Bez czucia padłam na ziemię...

\* \* \*

— Skończyło się wszystko, moja Marto! Solferino rozstrzygnęło sprawę: jesteśmy pobici.

Z temi słowy wszedł pewnego poranku do ogródka, gdzie siedziałam w cieniu lip, ojciec mój stary.

Z Rudolfem małym powróciłam do panińskiego mieszkania, w osiem dni bowiem po tym strasznym ciosie, jaki we mnie uderzył, rodzina nasza przeprowadziła się do Grumic, wiejskiej siedziby naszej w Austrii Dolnej. Wszystkich miałam w około sie-

bie; sama jedna umarłabym z rozpaczy. Ojciec, ciotka Marya, braciszek mały i dwie dorastające siostrzyczki, tworzyły, jak niegdyś przed ślubem, otoczenie moje. Wszyscy oni czynili, co tylko mogli, ażeby złagodzić ból mój, obchodzili się też ze mną z rodzajem wielkiego szacunku, który był mi osłoda. Pewne namaszczenie dawał mi w ich oczach los mój taki smutny, otaczał mnie pewien nimb, wynoszący mnie ponad całe otoczenie. Obok krwi, jaką na ołtarzu ojczyzny przelewają żołnierze, łzy spadające na ten sam ołtarz z oczu odartych z miłości matek, żon i kochanek, najpierwsze i święte mają prawo do poszanowania. Ciche i ukryte poczucie dumy, poczucie, że tak powiem, godności wojskowej, że straciłam na polu sławy męża ukochanego, pomagało mi najlepiej znosić tę niedolę. Nie byłam zresztą odosobnioną w swem nieszczęściu, ileż, ileż kobiet w całym kraju nosiło żałobę w sercu po spoczywających w ziemi włoskiej istotach najdroższych?...

Bliższe szczegóły o zgonie Arna nie były mi wówczas znane; znaleziono go nieżywego, poznano, oto i wszystko, o czym mogłam się dowiedzieć. Nie wątpiłam jednak, że ostatnia myśl jego biegła ku mnie i ku naszemu małemu pieścuchowi, niezawodnie też wydając ostatnie tchnienie, miał tę pociechę, że spełnił powinność swoją, więcej nawet niż powinność, bo do spełnienia służby nie był obowiązany.

— Jesteśmy pobici — powtórzył ojciec ponuro, siadając obok mnie na ławce ogrodowej.

— Te ofiary zatem złożone zostały na próżno? — zapytałam, wzdychając ciężko.

— Tym ofiarom trzeba zazdrościć, że nie wie-



dzą nie o hańbie, jaka nas spotkała. Powetujemy to jednak sobie, chociaż, jak powiadają, zawarty ma być pokój.

— Daj Boże — wtrąciłam — dla mnie biednej za późno przychodzi ten pokój, ale i teraz jeszcze ochroni się tysiące innych.

— Zawsze myślisz tylko o sobie i o jednostkach ludzkich, w tym wypadku chodzi przecież o Austryę!

— Czyliż Austrya nie składa się z samych istot pojedynczych?

— Dziecko moje — rzekł na to ojciec — państwo dłuższem i ważniejszym życiem żyje, aniżeli każde indywiduum. Ludzie mijają, jedna generacya zastępuje drugą, ale państwo rozwija się dalej, rośnie w sławę, wielkość, potęgę, albo też toczy się do upadku, maleje i znika z powierzchni, jeżeli się pozwala zawojować przez inne mocarstwo. Dlatego też najważniejszym i najpiękniejszym celem, do którego każdy powinien dążyć i w razie potrzeby chętnie życie swoje poświęcić, jest istnienie, wielkość i szczęście kraju.

Słowa te wbiłam sobie w pamięć, ażeby jeszcze tego samego dnia zapisać je w czerwonym kajecie, wyrażały one bowiem silnie i zwięźle wszystko, czego uczyły mnie książki historyczne i o czem zapomniałam w czasach ostatnich po wymarszu Arna, a zapomniałam z wielkiej trwogi i boleści. Z największą siłą pragnęłam uczepić się tych zdań, ażeby pociechę czerpać w przeświadczeniu, że mój najdroższy padł w obronie wielkiej sprawy i że nieszcześnie,

moje, jest tylko drobną cząstką owej wielkiej sprawy ogólnej.

Ciotka Marya natomiast innego rodzaju pociechę miała pod ręką.

— Nie płacz, dziecię — zwykła mówić, gdy mnie ujrzała zatopioną w łzach — nie bądź tak samolubną i nie oplakuj tego, któremu teraz jest najlepiej. Twój Arno poszedł pomiędzy zbawionych i z błogosławieństwem patrzy dziś na ciebie. Jeszcze tylko lat kilka, które szybko zbiegną, tej pielgrzymki doczesnej, a odnajdziesz go znów w pełnej chwale tam w niebie. Dla poległych w boju niebo najpiękniejsze zgotowało schronienie, szczęśliwi ci, którzy odwołani zostali przed tron Boga w chwili, gdy spełniali powinność świętą. Męczennikowi umierającemu za wiarę w arenie najbliższy przed Bogiem zasługą jest żołnierz, który poległ w bitwie za ojczyznę.

— Miałabym się przeto cieszyć, że Arno...

— Cieszyć! nie, tak wiele nikt nie może żądać od ciebie, los swój jednakże powinnaś znosić z pokorą i poddaniem się woli Boskiej. Niebo zesłało na ciebie próbę, z której powinnaś wyjść oświeconszą i umocnioną w wierze.

— Więc dlatego, ażeby mnie wypróbować i oświecić, miał Arno zginąć?

— Nie dlatego, któż jednak odgadnie wszystkie tajniki Opatrzności? Nie ja z pewnością.

Jakkolwiek przy wszystkich tego rodzaju pocieszeniach, płynących z ust ciotki Maryi, wybiegały na jaw przeróżne rozumowania moje na dnie duszy ukryte, wdzięczną jej byłam bardzo, dawały mi one bowiem



to mistyczne przekonanie, że duch mojego męża odbiera teraz w niebie zapłatę za śmierć swoją męczeńską, i że pamięć jego żyć będzie u ludzi, ozdobiona nieśmiertelną chwałą.

Mniej więcej w czternaście dni po klęsce pod Solferino nadeszła wiadomość o podpisaniu preliminarjów pokojowych w Villafranca. Ojciec zadawał sobie trud, ażeby mi na wszelki wypadek wytłómaczyć, że zawarcie tego pokoju było ze względów politycznych konieczne, pomimo też, że zapewniłam go o uciechu, jaką mi sprawia położenie końca wojnie, on ustawicznie wracał do tego, ażeby usprawiedliwić czyn upokarzający:

— Niech ci się nie wydaje, że myśmy stchórzyli! Pozornie zdawaćby się mogło, że poczyniliśmy pewne koncesye, ale tak nie jest! Godności naszej nie uchybiamy w niczem i wiemy już teraz, co dalej począć nam wypadnie. Gdyby tylko o nas samych chodziło, to dla małego szachu, jaki nam zadano pod Solferino, nie dalibyśmy partyi za wygraną. O nie! ho! ho! Nam było potrzeba wysłać jeden tylko korpus, a nieprzyjaciół musiałby natychmiast opuścić Medyolan! Chodzi tu jednak, moja Marto, o interesa i zasady inne, ogólniejszej natury. My zrzekamy się teraz dalszego prowadzenia wojny, czynimy zaś tak, ażeby ochronić inne zagrożone księstwa włoskie, na które wielką chrapkę ma ten sardyński herszt bandy zbrojeckiej, pospołu z owym francuskim czeladnikiem katowskim. Przeciwno Modenie, Toskanii, gdzie, jak ci wiadomo, rządzą dynastye spokrewnione z naszym domem cesarskim, ba! nawet przeciwko Rzymowi, przeciwko Papieżowi chcą oni iść w bój ci... Wan-

dale! Oddajemy dzisiaj Lombardję, zatrzymujemy przy sobie Wenecję i możemy w każdej chwili nieść pomoc południowo-włoskim państwom i Stolicy Świętej. Z tego jasno możesz osądzić, że tylko ze względów czysto politycznych i w interesie równowagi europejskiej...

— Rozumiem to, ojczy — przerwałam — ale dlaczego wszystkie te względy nie były brane w rachubę już przed Magentą i Solferino?

Czulałam, że przykróść zrobiłabym ojcu, rozwodząc się dalej, zwróciłam przeto uwagę jego na przesyłkę książek, nadeszłą dzisiaj z Wiednia.

— Pomiędzy innemi rzeczami księgarz zwraca uwagę na dzieło naturalisty angielskiego, niejakiego Darwina „The Origin of Species“, ma to być praca niezmiernie interesująca i tworząca nową epokę w nauce.

— Czytaj je sobie sama! Któżby w dzisiejszych, takich ważnych czasach zajmował się podobnemi drobnostkami? Cóż może być aż *epokowego* dla nas ludzi w książce, traktującej o rodzajach zwierząt i roślin? Konfederacya państw włoskich, hegemonia Austrii w Związku niemieckim, to kwestye doniosłe, te długo trwać będą w historii, podczas gdy o tej książce angielskiej ludzie zapomną w lat kilka. Zapisz to sobie w pamięci!

Oj! zapisałam ja sobie w pamięci te słowa.



## Księga druga.

### POKÓJ.

Minęły cztery lata. Obiedwie siostry moje, obecnie siedemnasto i osiemnastoletnie panienki, miały być po raz pierwszy przedstawiane u dworu, z tego więc powodu postanowiłam i ja wziąć udział w życiu wielkiego świata.

Czas ubiegły spełnił swoje i z wolna ułagodził moje cierpienia. Rozpacz zamieniła się w żal, żal w tęsknotę, tęsknota w obojętność, ta ostatnia zaś we wznowioną chęć życia i użycia. Pewnego pięknego poranku przebudziłam się z tem już wyrobionem przekonaniem, że właściwie położenie moje jest godne zazdrości i że kto wie, czy szczęście odsunęło się na zawsze odemnie. Dwadzieścia trzy lata, piękna, bogata, wysoko w świecie postawiona, wolna, matka jednego najrozkoszniejszego w świecie chłopczyka, córka kochającej się wzajemnie rodziny, czyż to nie dosyć warunków potemu, ażeby używać przyjemności życia?

Rok, przeciąg tak krótki pożycia mego małżeńskiego, niknął w oddali jak cień. Prawda, że śmiertelnie byłam zakochaną w moim huzarze pięknym, prawda, że mąż uczynił mnie najszczęśliwszą, prawda, że rozłączenie sprawiło mi troskę wielką, a utrata męża serce rwała w kawały, ale wszystko to minęło, minęło... Tak głęboko w duszę moją nie mogła być wryta miłość, skoro rozłączenie mogłam przeżyć i śmierć przeboleć. Żyliśmy z sobą za krótko!... Ubóstwialiśmy się wzajemnie, jak gorąca para zakochanych, ale ażeby serce w sercu się roztopiło, dusza z duszą tworzyły jedno, ażeby wzajemny wysoki szacunek i przyjaźń skuli nas nierozzerwalnymi ogniwami, jak to się zdarza niekiedy w małżeństwie po wielu latach wspólnych cierpień i radości, tego u nas nie było. Zresztą i ja nie musiałam być dla niego istotą najdroższą, nieodzowną, czyżby bowiem w takim razie tak wesoło, bez przymusu (pułk jego nigdy nie miał pójść na plac boju) porzucał mnie dla wojny? W ciągu tych lat czterech zmieniłam się przytem znacznie, zakres moich wiadomości i poglądów się rozszerzył, przyswoiłam sobie rzeczy, o których w chwili małżeństwa mego najmniejszego nie miałam pojęcia. Że tego pojęcia nie posiadał także Arno, umiałam to dziś ocenić, i dlatego czułam, że gdyby dzisiaj wstał z grobu, mojemu duchowemu nastrojowi pod niejednym względem wydawałby się obcym zupełnie.

Spytacie się niezawodnie, jak się odbyło to przeobrażenie moje? Otóż ztąd poszło:

Minał pierwszy rok mego wdowieństwa, rozpacz (pierwsza faza) przeszła w żal, ale w żal bardzo głęboką, zakrwawiającą serce. O nawiązaniu



stosunków towarzyskich nie chciałam wtedy słyszeć, zdawało mi się bowiem, że życie wypełnić mi powinna jedyna troska o wychowanie Rudolfa.

Nie nazywałam już syna swego Ruru, ani podoficerem, zabawy dziecinne młodych zakochanych małżonków odrzuciłam, malec stał się odtąd „moim synem Rudolfem“ i jako taki, punktem środkowym wszystkich starań moich, nadziei, miłości. Chcąc z czasem zostać dobrą nauczycielką dziecka albo przynajmniej chcąc podążać przy jego nauce, ażeby się stać towarzyszką jego ducha, postanowiłam tyle nagromadzić umiejętności, ile tylko będzie możliwe, że zaś czytanie jedyną było rozrywką, na jaką sobie pozwalałam, przeto zatapiałam się w skarbach naszej biblioteki pałacowej. Szczególniej ciągnęły mnie studia historyczne, będące niegdyś ulubionym przedmiotem nauki. Książki, znalezione w naszej bibliotece, wyczerpały się wkrótce, prosiłam zatem księgarza, ażeby przysłał nowe dzieła historyczne do rozpatrzenia, co on spełnił, nadsyłając dzieła Tomasza Buckle'a „History of Civilisation“.

Książka ta w rzeczywistości zupełnie była nowa, odczytując też ją po raz drugi i trzeci, odnosiłam wrażenie takie, jakie odnosić musi mieszkaniowiec zamkniętej doliny, gdy go wyprowadzą po raz pierwszy na szczyty górskie, z kądem widok rozpościera się na ziemię zasianą domami i ogrodami, a oblaną morzem. W dziele Buckle'a znalazłam przeciwieństwo tego, czego szukałam, pomimo to jednak księga rozwidniła mi dużo dróg, podniosła mnie, oświeciła i — uspokoiła. Próbowałam nawet pomówić o nowozdobitych poglądach na historię z ojcem moim — ale napróżno.

Nie chciał mi towarzyszyć w drodze na wysokie góry, co znaczy, że nie chciał książki przeczytać, więc i ja czułam, że go nie przekonam rozmową o rzeczach, które dostrzedz można jedynie, patrząc z pewnej wysokości na świat otaczający.

Nadszedł rok drugi (druga faza)—żałość przeszła w melancholię. W tym okresie czytałam i pracowałam jeszcze gorliwiej. Dzieło Buckle'a dało mi przedsmak poważniejszego myślenia i radości, jaką się odnosi, gdy można rozszerzyć krąg swoich poglądów, pragnęłam zatem używać coraz więcej i więcej i sprowadzałam sobie książki nowe, pisane w tym samym duchu. Interes, jaki one budziły, i uciecha, jaką znajdowałam w studiach, przyczyniły się do tego, że nadeszła trzecia faza: melancholia poczęła znikać. Z chwilą, gdy przyszło trzecie przeobrażenie, to jest, gdy nanowo wzbudziła się chęć życia, wtedy naraz nie wystarczały mi już książki, wtedy przekonałam się odrazu, że wszelkie etnografie, antropologie, mitologie porównawcze i wszystkie owe „logie“ i „grafie“ nie są zdolne zaspokoić tęsknicy mojej, że dla kobiety młodej w takim położeniu, jak moje, życie inne zupełnie przygotowało kwiaty szczęścia, po które tylko ręką sięgnąć...

I oto w zimie 1863 roku ofiarowałam się sama wprowadzić siostry moje młodsze w świat i otworzyłam nanowo salony towarzyskie w Wiedniu.

\* \* \*

„Marta hrabina Doczky — wdowa młoda i bogata“. Pod takim, wiele obiecującym nazwaniem,



zapisaną byłam na liście komedyi „wielkiego świata“. Przyznać muszę, że rola dobrze była dla mnie dobraną. Niemalą robi to przyjemność, gdy ze wszech stron odbiera się hołdy, gdy towarzystwo całe czci, psuje, wyróżnia na każdym kroku, niemalą jest także przyjemnością, gdy po blisko czteroletniem skwitowaniu z uciech światowych, nagle znajdzie się ktoś w wirze najróżnorodniejszych uciech, gdy poznaje się ludzi wybitnych, zajmujących, prawie codziennie bierze się udział w świetnych zabawach i—gdy jest się punktem środkowym zainteresowania ogólnego.

We trzy z siostrami moimi nosiłyśmy przezwisko „bogiń z góry Ida“, nie zliczyłybyśmy też wszystkich „jabłek“, rozdzielonych pomiędzy nas przez różnych młodych Parysów. Naturalnie, że ja stosownie do wyżej wymienionego afisza, „młoda bogata wdowa“, zwykle byłam wyróżnianą. Rodzina moja powiedziała sobie, a potrosze i ja miałam to przekonanie, że trzeba mi znów iść za mąż. Ciotka Marya w homiliach swoich nie mówiła już więcej o nieboszczyku, który „tam w niebie czekał na mnie“, w razie bowiem, gdybym podczas krótkiej pielgrzymki doczesnej na ziemi znalazła sobie drugiego męża, którą to ewentualność przewidywała ciotka i bardzo jej sobie życzyła — przyjemność słodkiego zobaczenia się w niebie silnieby była zagrożona.

Zdawałoby się, że wszyscy w otoczeniu mojem zapomnieli o istnieniu dawniej jakiegoś Arna; ja jedna tylko pamiętałam i chociaż czas uleczył ból mój, obraz jego nie zatarł się w pamięci. Można przestać umarłych oplakiwać — oplakiwanie zresztą nie zależy od woli naszej—ale zapomnieć nie wolno! Milczenie też

w mojem otoczeniu o zmarłym uważałam jako drugie, tym razem zupełne już pogrzebanie Doczky'ego. Postawiłam sobie za zadanie codziennie rozmawiać z Rudolfem małym o jego ojcu i w modlitwie przed pójściem do łóżeczka musiało dziecko powtarzać: „Boże, daj mi być dobrym i zacyym, ażeby ojciec mój, ukochany Arno, cieszył się ze mnie w niebie“. Siostry moje bawiły się doskonale, ja zaś wcale nie mniej od nich. Do pewnego stopnia był to właściwie mój debiut na wielkim świecie. Dawniej wprowadzoną tu byłam jako narzeczoną, później nowozaślubioną i ma się rozumieć, że młodzież cała w takich warunkach trzymała się odemnie zdaleka, a cóż dodaje największego uroku w życiu „światowem“, jeżeli nie nadskakiwania mężczyzn? Rzecz dziwna doprawdy, że chociaż bardzo mi pochlebiali otoczenie czcicieli, żaden z nich nie wywarł wrażenia głębszego. Pomiedzy nimi a mną istniała przegroda, niemożliwa do przebycia. Trzy lata samotnych studyów i rozmyślań zbudowały tę przegrodę. Główne zajęcie tych wszystkich świetnych młodzieńców tworzył sport, gry, balet, plotki dworskie, a jeżeli którykolwiek miał jakąś aspiracyę, to chyba tylko dążność ku odznaczeniu się w służbie (przeważnie byli to wojskowi), ale o rzeczach, jakie mnie zajmowały, o książkach i o tem wszystkiem, czem duch mój się rozkoszował, nawet najslabszego nie mieli oni pojęcia.

Z tego zastępu młodzieży nie mogłabym sobie wyśzukać męża, to rzecz pewna, zresztą nie spieszyło mi się pozbywać się wolności, z którą zupełnie mi było dobrze. Umiałam adoratorów i kan-



dydatów do mojej ręki trzymać w takim oddaleniu, że żaden z nich nie ośmielił się uczynić propozycji, nie można też było powiedzieć o mnie, że kokietuję mężczyzn. Syn mój, Rudolf, powinien być dumny z czasem z matki swej, żaden cień nie może się znaleźć na jej dobrej sławie, gdyby jednak wypadek miał zdarzyć, że serce moje zabiłoby nanowo miłością, stałoby się to musiało tylko wtedy, gdybym napotkała na drodze mojej człowieka miłości tej godnego. Wtedy gotowabym była upomnieć się o prawo moje do szczęścia ziemskiego i zawrzeć powtórnie związku małżeńskie.

Jakże chętnie nieraz przy obiadach proszonych siadałabym była w kąci, gdzie skupiało się kilku dyplomatów, naszych wymownych mężów stanu i gdzie szła wymiana zdań o niemniej poważnych zagadnieniach! Niestety! było to niemożliwe, musiałam trzymać się innych kobiet młodych i omawiać kwestię toalet przygotowywanych na bal następny. Zresztą, gdybym wcisnęła się do tej grupy, ręczę, że ustalyby naraz prowadzone dotąd rozmowy o ekonomii politycznej, o poezji Byrona, o teoriach Straussa i Renana i zwróconoby się do mnie z komplementem w rodzaju: „pani hrabina wyglądałaś na pikniku damskim czarująco“, lub: „zobaczmy chyba panią jutro na balu w ambasadzie rosyjskiej.“

\* \* \*

— Pozwól droga Marto—rzekł kuzyn mój Konrad Althaus— że przedstawię ci pułkownika, barona Tillinga,

Skloniłam się lekko, kuzyn mój się oddalił, przedstawiony zaś w milczeniu stał przedemną, a ja milczenie to uważając za zaproszenie do tańca, wstałam i zaokrągliwszy zgrabnie rękę lewą, gotowa ją byłam położyć na ramieniu barona.

— Wybacz pani hrabino—rzekł, uśmiechając się przelotnie i w tym uśmiechu ukazując dwa rzędy białych zębów—ale nie umiem tańczyć.

— Tem lepiej—odpowiedziałam, siadając znów z powrotem—bo ja umyślnie schroniłam się do tego kącika, ażeby odpocząć trochę.

— Wyprosiłem sobie ten zaszczyt, ażeby być pani przedstawionym w celu zakomunikowania jej czegoś.

Spojrzałam na niego zdziwiona, tak poważną miał minę baron. Wogóle wyglądał on bardzo poważnie, niemłody już, około czterdziestki, z kilku srebrnymi nitkami na skroni; całość przedstawiała się dystygowanie i sympatycznie. Przyzwyczaiłam się każdemu nowopredstawionemu mężczyźnie przyrzec się badawczo i odrazu w głowie stawało mi pytanie: „czy ty, mój panie, należysz do starających się o mnie i czy ja cię przyjmę?“ Więc i teraz uczyniłam sobie to samo pytanie i odpowiedziałam zaraz: „nie.“ Osobnikowi temu niedostawało tego wyrazu niemego uwielbienia, jakie na twarz przybierać zwykli ci, którzy zbliżają się do kobiet w tak zwanych „zamiarach.“ Zresztą już sam mundur wpływać musiał na odpowiedź ujemną, drugi raz bowiem nie oddałabym ręki żadnemu żołnierzowi, nie dlatego, ażeby po raz drugi być wystawioną na obawy okropne w razie wojny, ale dlatego, że od czasu tej wojny wogó-



le wyrobiłam sobie przekonania, z którymi żaden żołnierz nie mógłby się pogodzić.

Zaprosiłam pułkownika Tillinga do zajęcia miejsca obok mnie, z czego on nie zrobił jednak użytku.

— Nie będę długo nudził pani hrabiny, tego zaś, co mam do zakomunikowania, nie wypada mówić na balu. Chciałem więc tylko prosić o pozwolenie odwiedzenia pani w jej domu; czy nie mogłaby przeto pani hrabina oznaczyć dnia i godziny, w której mógłbym z nią pomówić?

— Przyjmuję w każde soboty pomiędzy 2-gą a 4-tą.

— W takie soboty dom pani musi wyglądać jak ul, do którego wbiegają i z którego wybiegają pszczoły, nasycone miodem.

— I dokończ pan, że ja siedzę wtedy jak królowa w przegródce mojej. Wcale ładny komplement.

— Nie przywykłem mówić nigdy komplementów, tem mniej zdolny jestem do robienia miodu i dlatego wolałbym uniknąć tej sobotniej ciżby. Chcę rozmowy w cztery oczy.

— Zaczynasz pan mnie zaciekawiać! Zatem niech będzie jutro, we wtorek, o tej samej godzinie, tylko dla pana będę w domu, dla nikogo więcej.

Podziękował mi ukłonem i poszedł, po chwili zaś zbliżył się do mnie mój kuzynek, więc poprosiłam go, żeby usiadł obok mnie i dał objaśnienie o baronie.

— Czy ci się podoba, czy może zrobił tak duże na tobie wrażenie, że się gorąco interesujesz jego

osobą? Kawaler do wzięcia, to znaczy, że jest bezżenny, ale ztąd jeszcze nie wypływa, ażeby miał być wolnym... Przebakują, że pewna wysoko postawiona dama—Althaus wymienił nawet imię księżniczki z domu panującego—przykuła jego serce i że dlatego się nie żeni. Pułk jego dopiero od niedawnego czasu do Wiednia został przeniesiony, ztąd mało widywano go w towarzystwach, zdaje mi się przytem, że jest on wrogiem wszelkich balów i zabaw hucznych. Poznałem go w kasynie szlacheckiej, gdzie codziennie kilka godzin przesiaduje, ale przeważnie w czytelni, zatopiony w gazetach lub rozgrywający kilka partyj z naszymi najlepszymi szachistami. Zdumiony poprostu byłem, zastawszy go tu, wytłomaczyć zaś sobie mogę to krótkie pojawienie się jego na balu tylko tą okolicznością, że pani domu jest jego kuzynką. Opuścił on nas już zresztą; widziałem, jak po rozmowie z tobą wychodził zupełnie.

— Czy przedstawiałeś go także innym paniom?

— Żadnej, jedynie tobie. Nie wyobrażaj sobie jednak, ażebyś takie na nim zrobiła wrażenie, że zapragnął cię poznać. Zbliżył się do mnie i zapytał w te słowa: „Nie może mnie pan objaśnić, czy na balu nie znajduje się hrabina Doczky, z domu Althaus, a więc prawdopodobnie kuzynka pańska?“ „Kuzynka moja—odparłem—siedzi na kanapie tam w rogu, w sukni niebieskiej.“ „Ach to ta? Zrób mi pan tę grzeczność i przedstaw mnie jej“. Chętnie spełniłem jego życzenie, nie przypuszczając wcale, że tym sposobem zakłócę twój spokój.

— Nie żartuj, mój Konradzie, spokoju moje-



go nie tak łatwo nie zakłóci. Tilling? Tilling? cóż to za rodzina, nazwisko to słyszę po raz pierwszy?

— Mów sobie, co chcesz, ale widzę, że on cię zajmuje... Ach! jaki to człowiek szczęśliwy z tego Tillinga! Naprawdę całe trzy miesiące z największą rozrzutnością wszystkich moich środków czarowania kobiet starałem się wkraść w łaski twoje, a ten zimny pułkownik, bo on zimny jest i bez uczucia, „przyszedł, zobaczył i zwyciężył.“ Pytasz się, jaka to rodzina Tillingów? Zdaje mi się, że pochodzi ona z Prus, chociaż już ojciec ich służył w wojsku austriackim, matka jego jest także prusaczką.

Althaus wstał i dokończył z uśmiechem:

— Spełniwszy swoje, pozostawiam cię w snach słodkich, spróbuję teraz pójść pomiędzy panie, które...

— Które znajdują cię przepięknym, a takich jest z pewnością bardzo dużo—odparłam, śmiejąc się serdecznie!

Salę balową opuściłam wcześniej; siostry mogły pozostać pod opieką ciotki Maryi, mnie zaś nie przytrzymywało tu nic więcej. Ochota do tańca mnie odeszła, czułam się zmęczoną i zapragnęłam samotności. Dlaczego?... Hm! chyba nie dlatego, ażeby mi nikt nie przeszkadzał w dumaniach o Tillingu... A jednak zdaje się, że tak było, skoro tego samego dnia około północy zapisałam rozmowę na balu w kajecie czerwonym, dodając uwagę: „Interesujący to człowiek, ten Tilling... Wysoko postawiona dama, która go kocha, prawdopodobnie myśli w tej chwili o nim, a może... klęczy on teraz u jej nóg i ona nie czuje się samą, tak zupełnie samą, jak ja.

Nie znam go, ale ażeby tak być kochanym, trzeba innym być człowiekiem, nie Tillingiem. Nie zazdrość księżniczce Tillinga, ale zazdrość jej tego zakochania.“

Obudziwszy się ze snu pierwszego, na myśli miałam Tillinga. I nie mogło być inaczej! Zapowiedział przecież wizytę swoją w celu zakomunikowania mi ważnych wiadomości. Oddawna żadna wizyta nie wzbudzała we mnie takiej ciekawości, gdy więc nadeszła określona z góry godzina, wydałam rozkaz służbie, ażeby z wyjątkiem gościa oczekiwanego, nie wpuszczano nikogo. Siostr moich nie było podówczas w domu, ciotka Marya bowiem, ta niezmordowana *garde-dame*, poprowadziła je na ślizgawkę.

Włożyłam na siebie ładną toaletę domową z fioletowego aksamitu (fiolet bardzo jest do twarzy, jak wiadomo, blondynkom), usiadłam w saloniku, wzięłam książkę do ręki i czekałam. Czekanie moje nie trwało długo, w dziesięć bowiem minut po drugiej wszedł do salonu baron Tilling.

— Jak pani widzi—rzekł, całując mnie w rękę—punktualnie skorzystałem z pozwolenia.

— Na moje szczęście—odpowiedziałam, śmiejąc się i wskazując ręką fotel—w przeciwnym razie umarłabym z niecierpliwości, tak bardzo pobudził pan ciekawość moją.

— W takim razie bez długich wstępów powiem wszystko, co miałem do powiedzenia. Jeżeli zaś nie uczyniłem tego wczoraj, to jedynie dlatego, że nie chciałem zepsuć pani wesołej zabawy.

— Przerazasz mnie pan...



— Będę zwięzłym. Oto brałem udział w bitwie pod Magentą.

— I patrzył pan na śmierć Arna? — zawołałam.

— Tak jest. Mogę pani dokładną zdać relację z ostatnich chwil jego życia..

— Mów pan — rzekłam, drżąc na całym ciele.

— Niechaj pani tak nie drży, hrabino, gdyby bowiem te ostatnie chwile były tak straszne, jak niejednego z jego towarzyszków, napewno z ust moich nie dowiedziałaby się pani o tem. Niema nic boleśniejszego nad poznanie prawdy, że ktoś drogi naszemu sercu umierał w strasznych męczarniach. Tego w tym wypadku nie było.

— Kamień z serca zdejmujesz mi pan, proszę, mów pan dalej.

— Nie powiem pani frazesu pustego, jakim zwykło się pocieszać wdowy, siostry i sieroty po żołnierzach: „Umarł jak bohater!“ — sam bowiem nie wiem, co przez to ludzie chcą powiedzieć. Prawdziwą pociechą niechaj dla pani będzie, że umarł, nie myśląc wcale o śmierci. Od samego początku kampanii był przekonany, że mu się nic złego stać nie może. Często bywaliśmy z sobą razem, a wtedy opowiadał mi o swoim szczęściu rodzinnem, pokazywał fotografię swojej ładnej i młodej żonki, oraz dziecka, i prosił, ażeby, gdy wojna się skończy, odwiedził go w domu. W bitwie pod Magentą wypadkowo znajdowałem się przy jego boku. Oszczędzę pani obrazu scen, poprzedzających sam wypadek, takich rzeczy się nie opowiada. Mężczyźni waleczni wśród dymu prochu

i gradu kul wpadają w taki wir, że sami nie wiedzą, co się z nimi dzieje, a Doczky był waleczny. Oczy jego rzucały iskry, ręka nie drżała, gdy celował, znajdował się w prawdziwej furii wojennej, co, jako człowiek *trzeźwy*, mogłem doskonale osądzić! Nagle o kilka kroków przed nami padł granat i gdy pękł, dziesięciu ludzi legło na ziemię, pomiędzy nimi Doczky. Jęk przeraźliwy tych nieszczęśliwych rozległ się w powietrzu, ale Doczky nie krzyczał: Był trupem. Razem z kilku towarzyszami schyliłem się, ażeby nieszczęśliwym nieść pomoc, ale nie było to już możliwe. Wszyscy pasowali się ze śmiercią, pokaleczeni w straszliwy sposób, stawali się łupem najokropniejszych boleści... Jeden tylko Doczky, nad którym pierwszy przyklęknąłem, nie oddychał już więcej, serce jego bić przestało, a z rany jego krew toczyła się takimi strumieniami, że gdyby to było omdlenie nawet, nie już śmierć, jeszcze nie zachodziła obawa, ażeby miał powrócić do przytomności.

— Obawa? — przerwałam, płacząc.

— Tak jest, obawa, bo i tak musielibyśmy ich zostawić bez pomocy na polu. Przed nami rozległ się nakazujący mordowanie bliźnich okrzyk: „hura!“ za nami pędziła konnica, trając umierających. Na szczęście Doczky był już bez czucia. Oblicze jego miało wyraz spokoju i gdy następnie po skończeniu bitwy odszukiwaliśmy naszych rannych i poległych, znalazłem go na tem samem miejscu, w tej samej pozycji, z tem samem pogodnem obliczem. Oto wszystko, co ci chciałem opowiedzieć, hrabino. Prawda, że mogłem to uczynić przed kilku laty i że nie spo-



tkawszy pani nigdzie, mogłem napisać, ale myśl sama przyszła mi wczoraj do głowy, kiedy oznajmiła mi kuzynka, że w szeregu zaproszonych gości znajduje się piękna wdowa po Arnio Doczkym. Wybacz mi pani, że poruszyłem tak smutne wspomnienia, uważałem jednak sobie za obowiązek uwolnić panią od przykrych powątpiewań.

Wstał, podał mi rękę.

— Dziękuję panu, panie baronie—rzekłam, ocierając łzy—wielki dar złożyłeś mi tym opisem; uspokojenie i pewność, że mąż mój drogi w ostatniej chwili nie odczuwał bólów i męczarni, jest wielką dla mnie pociechą. Proszę, zostań pan trochę, chciałabym jeszcze pomówić. Przed chwilą w sposobie wyrażania się pańskiego zauważyłam, że potraciłeś w strunę, która oddawna wibruje w umyśle moim, powiedz mi przeto bez ogródki, czy pan potępiasz wojny?

Twarz barona Tillinga spochmurniała.

— Daruj, hrabino, że nie będę dotrzymywał ci placu, żałuję przytem, że nie mogę się dłużej zatrzymać, ale czekają na mnie.

Teraz moja twarz zrobiła się lodowatą. Czeka ją go! Prawdopodobnie owa księżniczka...

Ta myśl sama czyniła mi przykrość niewysłowioną.

— W takim razie, nie chcę pana zatrzymywać dzisiaj, panie pułkowniku—rzekłam zimno.

Nie prosząc mnie nawet o pozwolenie, ażeby mógł powtórnie złożyć wizytę, skłonił się i wyszedł.

\* \* \*

Skończył się karnawał, podczas którego siostry moje Różia i Lili bawiły się świetnie. Każda z nich zakarbowwała sobie w pamięci po pół tuzina zdobyczy sercowych, chociaż żadna nie natrafiła jeszcze na odpowiedniego konkurenta. Tem lepiej dla nich! Niech sobie użyją jeszcze panińskiej swobody, zanim zegnają kark pod jarzmo małżeńskie.

A ja? W czerwonym kajeciku znajduję takie wrażenie, odniesione w minionym karnawale:

„Zadowoloną się czuję, że raz nareszcie zakończyły się te podrygi taneczne, bo nudne i monotonne stawały się one w końcu. Wiecznie jedne i te same obroty, figury, wiecznie jedne i te same rozmowy i wiecznie jedni i ci sami tancerze! Czy to bowiem był oficer pułku huzarów N., czy ułan Y., czy wreszcie rotmistrz Z.—wszyscy oni jednakowo się kłaniali, jednakowo czynili uwagi, jednakowo wzdychali i jednakowo rzucali spojrzenia. Ani jednego pomiędzy nimi człowieka, któryby mógł zainteresować, ale to literalnie ani jednego! Ten zaś jedyny, któryby może... eh! nie mówmy lepiej o nim—ten... należy do księżniczki swojej. Prawda, że ona jest ładną kobietą, ale tak otwarcie mówiąc, ja znajduję ją niesympatyczną.“

Pomimo, że skończył się karnawał, zabawom przeróżnym nie było jeszcze końca. Wieczorki, obiady prośzone, koncerty i t. p. sprawiały, że wir trwał jeszcze ciągle, postanowiono nawet urządzić wielkie przedstawienie amatorskie, chociaż nastąpić ono mogło dopiero po Wielkiej-Nocy. Wbrew zdaniu ciotki Maryi, nie zaprzestaliśmy zabaw, pomimo, że post nakazywał pewne ograniczenie.



Nie uczęszczałam ani na kazania postne najznakomitszych kaznodziej, ani też nie pokazywałam się często na rautach wielkopostnych, utraciłam bowiem nagle całą przyjemność w obcowaniu towarzyskiem i lubiłam często pozostawać w domu, zabawiać się w gry z synem moim, gdy zaś mały mój szedł na spoczynek, siadałam z książką przy kominku. Czasami odwiedzał mnie ojciec i gawędził ze mną po kilka godzin. Rzecz naturalna, że przy każdej takiej pogawędce wspomnienia wojenne bezwarunkowo musiały tworzyć oś naszej rozmowy. Opowiedziałam ojcu o całym raporcie, złożonym mi przez Tillinga o śmierci Arna, ojciec jednakże dosyć zimno zapatrywał się na wszystko, czy bowiem skonał ktoś wśród męczarni, czy bez bólesci wszelkich, to dla niego zdawało się być zupełnie rzeczą podrzędną. „Polegnąć—bo tak się nazywa śmierć na polu bitwy—w jego pojęciu było czemś tak pięknem, tak przez wzniosłe fatum koniecznem, że wszelkie szczegóły o bólach cielesnych nie mogły wcale być brane w rachubę. W jego ustach owo „polegnie“ stawało się zawsze tylko odznaczeniem najwyższem, którego drugi dopiero stopień zawiera się w wyrazach: „być rannym.“ Sposób, w jaki mówił o tych, którzy w tej albo owej potyczce polegli, tak był namaszczone, duma i respekt tak się w słowach jego przebijały, że zapominało się zupełnie, iż rana boleć przecież musi. Jakż to różnica pomiędzy słowami ojca a krótkimi opowiadaniem Tillinga. Kiedy Tilling mówił o dziecięciu nieszczęśliwych, których rozszarpywał pękający granat i którzy rozpaczliwym wybuchali jękiem, w głosie jego brzmiała nuta wstrząsającej sercem lito-

ści. Nie powtórzyłam ojcu słów Tillinga, czułam bowiem instynktownie, że wydadzą mu się one niedość żołnierskimi. Ojciec mógłby mniejszy poczuć szacunek dla barona, a to... sprawiłoby mi przykrość. Właśnie ta, być może, nie rycerska, ale z pewnością czysto ludzka odraza, z jaką patrzył na śmierć straszliwą współtowarzyszów i z jaką opowiadał o niej, wryła się głęboko w serce moje.

Chętnie pomówiłabym była szerzej na ten temat z Tillingiem, ale on widocznie nie pragnął utrzymać w dalszym ciągu znajomości ze mną. Dwa tygodnie minęły od czasu ostatniej jego wizyty i nie tylko, że nie powtórzył odwiedzin swoich, ale nie mogłam go także nigdzie spotkać w towarzystwie. Dwa, czy trzy razy zobaczyłam go na Ringu, raz w teatrze, ale skłonił mi się zawsze wtedy z szacunkiem, ja podziękowałam ukłonem—i na tem się kończyło. Więcej nie!... A jednak rzecz to dziwna, że przy każdej takiej okoliczności żywo biło mi serce i godzinami całemi zapomnieć nie mogłam ruchu jego, gdy się kłaniał poważnie.

— Moje dziecko, mam prośbę do ciebie—z temi słowy wszedł pewnego poranku mój ojciec do pokoju mego, a trzymając w rękę zawiniętą w papier paczkę i kładąc ją na stole, dokończył. — Przynoszę także coś z sobą.

— Prośba i równocześnie podarunek? — zaśmiałam się szczerze—Ależ to przekupstwo!

— Przedewszystkiem wysłuchaj prośby mojej, zanim jeszcze otworzysz ten pakunek i zanim olśni cię jego zawartość. Czeka mnie dzisiaj nudny obiad proszony



— Wiem o tem, będzie trzech starych generałów z żonami swojemi.

— I dwóch ministrów również z żonami, słowem, nudna, uroczysta, sztywna historia.

— Nie przypuszczasz chyba, ojcze, ażebym ja...

— Właśnie, że przypuszczam! ze względu bowiem, że zaszczycić mnie mają damy obecnością swoją, honory domu powinna robić także dama.

— Urząd ten objęła przecież ciotka Marya.

— Ją napadły dzisiaj znów zwykle bóle głowy, nie pozostaje mi przeto nic innego, jak...

— Jak poświęcić swoją własną córkę. Czynili to w starożytności także ojcowie, np. Agamemnon poświęcił Ifigenię. Niema rady, trzeba się poddać.

— Nie znudzisz się zresztą; pomiędzy gośćmi znajdą się również młodsze żywioty; będzie doktor Bresser, ten, który podczas ostatniej mojej choroby pielęgnował mnie tak znakomicie, będzie dalej pułkownik Tilling...

Ojciec urwał i po chwili zawołał:

— Co ci jest? Stałaś się odrazu czerwoną, jak purpura?

— Ja?... Broń Boże! to tylko ciekawość, pchająca mnie do... do zobaczenia... co się właściwie znajduje w tej paczce przyniesionej przez ojca.

Poczęłam odwijać paczkę.

— Nie spodziewaj się czasem żadnego sznura pereł, ten podarunek nie dla ciebie, przeznaczony jest on dla Rudolfa.

— Widzę, że to skrzyneczka z zabawkami. Co to, żołnierze blaszani! Ależ ojcze, dziecko czteroletnie nie powinno...

— Ja już w trzecim roku życia bawiłem się w żołnierzy, takie zabawy nigdy nie są za wczesne, pierwsze moje uciechy i najsilniejsze wrażenia, to były bębny i pałasze, mustra i komenderowanie; w ten sposób rozbudza się zamilowanie wojskowe.

— Syn mój nie będzie żołnierzem — prze-rwałam.

— Co ty mówisz, Marto! przecież wiem, że ojca jego życzeniem było...

— Biedny Arno nie żyje, a Rudolf moją jest własnością jedyną, ja nie chcę...

— Nie chcesz, ażeby obrał sobie najpiękniejsze, najzaszczytniejsze powołanie?

— Życie jedynego dziecka mojego nie może stać się pilką, rzucaną na wojnie.

— I ja byłem jedynakiem, a jednak zostałem żołnierzem. O ile wiem, Arno nie miał żadnego rodzeństwa, twój brat Otto, jest również u mnie jedynakiem, i pomimo to oddałem go do Akademii wojskowej. Tradycja rodzinna wymaga, ażeby potomek Doczkych i Althausów przedewszystkiem służył oczywiście.

— Oczywiście mniej jest on potrzebnym, aniżeli mnie.

— Cóżby było, gdyby wszystkie matki myślały w ten sposób?

— Coby było? Oto nie mielibyśmy parad wojskowych, rewij i nie sypanoby wałów z ciał męzkich, przeznaczonych na wystrzelanie, nie byłoby pożywnia dla armat. Małe to nieszczęście.

Ojciec zmarszczył brwi, potem wzruszył ramionami.



— Ach! z temi babami—rzekł pogardliwie—na szczęście jednak syn twój nie będzie cię pytał o pozwolenie, w żyłach jego płynie krew rycerska—no, a zresztą przecież nie pozostanie on chyba jednakiem. Trzeba ci znów iść za męża, Marto, w twoim bowiem wieku wcale to nie dobrze żyć samej na świecie. Powiedźże mi otwarcie, czy nie znalazł się jeszcze taki konkurent, na którego łaskawszem spoglądałabyś okiem? Rotmistrz Oleński np. na zabój jest w tobie zakochany, niedawno wywzdychał mi miłość swoją, a mnie wcaleby się podobał taki zięć.

— Mnie zaś wcaleby się nie podobał taki... mąż.

— Mam jeszcze w odwodzie majora Millersdorfa.

— Gdybyś nawet, ojczu, całą listę oficerów wypowiedział szematycznie, to i tak wszystko napróżno—i ażeby przerwać rozmowę, zapytałam pośpiesznie: — O której godzinie mam się stawić na obiedzie?

— Obiad jest o piątej, ale przyjdź o pół godziny wcześniej. Do widzenia, a pozdrów Rudolfa, tego przyszłego wodza naczelnego armii c. k.

\* \* \*

„Nudna, uroczysta, sztywna historia”—tak nazywał mój ojciec obiad zapowiedziany i tak nazwałabym i ja tę ceremonię, gdyby nie jeden gość, którego nazwisko już mnie poruszyło...

Baron Tilling zjawił się przed samem rozpoczę-

ciem obiadu i ztąd mogłam zaledwie kilka krótkich zdań z nim zamienić, gdy pozdrowił mnie w salonie, przy stole zaś siedziałam pomiędzy dwoma jak gołąbki siwymi generałami i baron tak był odemnie daleko, że w żaden sposób nie mogłam ze swego miejsca podtrzymać rozmowy, jaką wiedli w tamtej stronie stołu. Cieszyłam się na tę chwilę, gdy znów znajdziemy się napowrót w salonie; chciałam przywołać Tillinga do siebie i wybadać go w kwestyi zapatrywań jego na owe szczegóły bitwy. Stęskniłam się za tą nutą, która w głosie jego przy pierwszej rozmowie brzmiała tak sympatycznie. Z początku wykonanie tego przedsięwzięcia natrafiało na przeszkody; staruszkowie moi nie opuszczali mnie nawet po wstaniu od stołu i usiedli po boku moim, gdy w salonie zabierałam się do rozlewania czarnej kawy. Do staruszków przyłączyli się w półkołu: ojciec mój, minister, z powodu przyzwyczajenia swego nazywany ministrem „Bądźcobądź”, doktor Bresser i Tilling. Rozmowa miała podkład ogólnie interesujący. Generałowie rozpoczęli pytaniem.

— Czy też wkrótce nie zaniesie się znów na jaką wojnę?

— Hm — odparł drugi — najbliższą wojnę, jak myślę, mieć będziemy z Rosyą.

— Że też zawsze być musi jakaś wojna „najbliższa?” — wtrąciłam, ale nikt nie zważał na słowa moje.

— Prędej z Włochami—zapewnił mój ojciec—musimy przecież odzyskać naszą Lombardję. Takiego wkroczenia do Medyolanu, jak w roku 49 z papą



Radeckim na czele, raz jeszcze chciałbym dożyć. Było to przed południem, słońce świeciło jasno...

— Ależ ojcze, tę historię wkroczenia do Medyolanu znamy wszyscy na pamięć—zawołałam.

— Co, to może znacie i historię o dzielnym Huppfaufie?

— Znam ją i nawet znajduję ją w wysokim stopniu wstrętą.

— Co ty rozumiesz pod tym wyrazem „wstrętną?”

— Opowiedzże nam, Althaus, my nie znamy tej historii.

Naturalnie, że ojciec nie dał się dwa razy prosić.

— Huppfauf służył w pułku strzelców tyrolskich, był zaś takim mistrzem w strzelaniu do celu, że trudno lepszego sobie wyobrazić. Otóż, zgadnijcie co ten tyrolczyk uczynił, gdy się zbuntowali medyolańczycy? Przychodzi i prosi, ażeby jemu i czterem jego towarzyszom pozwolono wejść na dach katedry, z kąd będą strzelali do rokoszan. Pozwolono mu i on zamiar swój wykonał. Czterej towarzysze ustawicznie nabijali broń, a każdy z nich miał sztucer z sobą, i podawali Huppfaufowi, ażeby on na nabijanie nie tracił ani chwili. W ten sposób ubił aż 90 Włochów.

— Wstrętne — zawołałam — wstrętne! Przecież każdy z tych zabitych Włochów, do których on z bezpiecznego schronienia celował, musiał mieć matkę, żonę lub kochankę i z pewnością do życia był przywiązany.

— Każdy z nich był wrogiem naszym, moje dziecko, to zmienia postać rzeczy.

— Zupełnie słuszny pogląd—rzekł doktor Bresser.—Dopóki sankcjonować będziemy pojęcia, że muszą pomiędzy ludźmi być „nieprzyjaciele“, dopóty ludzkie nasze uczucia będą w poniewierce.

— Cóż pan na to mówi, panie baronie?—zapytałam się Tillinga.

— Życzylbym temu człowiekowi orderu, ażeby ozdobił pierś jego mężną i—życzylbym mu kuli, któraaby przeszła jego serce twarde, zasłużył na jedno i na drugie.

W stronę mówiącego rzuciłam ciepłe spojrzenie, pełne podziękowania, inni jednakże panowie, z wyjątkiem doktora, zdawali się niemile być dotknięci. Nastąpiła krótka pauza. *Cela avait jeté un froid.*

\* \* \*

Okolo godziny ósmej goście zaczęli się rozchodzić. Ojciec mój starał się jeszcze wszystkich zatrzymać, ja również wybaknęłam kilka uprzejmych wyrazów, np.: „może przynajmniej jeszcze jedną szklanczkę herbaty?“ — ale wszystko napróżno, każdy miał coś na swoje usprawiedliwienie: na tego oczekiwano w kasynie, na innego na wieczorku, jedna z dam koniecznie chciała usłyszeć czwarty akt „Hugonotów“, u drugiej zapowiedzieli się goście, słowem, trzeba było się pożegnać, lubo z niechęcią.

Tilling i doktor Bresser, którzy równocześnie z innymi zabierali się do odejścia, zegnali się na ostatku.



— A cóż panowie mają dziś ważnego do roboty?—zapytał się mój ojciec.

— Ja właściwie nic — z uśmiechem odparł Tilling—ponieważ jednak wszyscy goście się rozchodzą, niegrzecznie byłoby z mojej strony..

— To samo i ja muszę powiedzieć — przywodził doktor.

— W takim razie nie puszczę panów.

Po kilku minutach ojciec z doktorem usiedli do party pikiety, podczas gdy baron Tilling przysunął się z krzesłem swoim do mnie, siedzącej przy kominku. „Czyliż to *nudna, sztywna* historia *taki* obiad proszony?“—przebiegło mi przez myśl, jak niemniej przebiegła odpowiedź:—„Nie! zaiste przyjemniejszego wieczoru nie mogłabym sobie zgotować!“—Rzekłam tedy głośno:

— Właściwie powinnabym panu uczynić wymówkę, że po pierwszej bytności zapomniałeś zupełnie o domu moim.

— Nie zachęcałaś mnie pani do odwiedzin.

— Owszem, powiedziałam przecież, że co sobotę...

— Ach tak, wiem, pomiędzy drugą a czwartą... Na to nie zdobyłbym się nigdy, hrabino. Będę szczerym i powiem, że nie znam nic okropniejszego nad te dni urzędowe, nazwane „dniami przyjęć.“ Znaleźć się w salonie zapełnionym ludźmi obcymi, ukłonić się pani domu, zająć miejsce na samym końcu jakiegoś półkola, słuchać i zamieniać pytania i odpowiedzi o pogodzie, przez gospodynię być zaledwie w przelocie wyróżnionym, bo co chwila wchodzi gość nowy,

którego ona powitać musi, to trochę za wiele. Ten biedny gość, który wszedł właśnie i zajął następne wolne miejsce, w przekonaniu, że nikt jeszcze przed nim nie poruszył tak ciekawego tematu, przedewszystkiem zaczyna znów od niezmiernie ciekawej uwagi o pogodzie, i tak dalej w kółko, chyba, że ogólniejsze zajęcie wzbudzi jakaś mama z czterema córkami, z których każda radaby się wydać za męża. Po dieściu minutach razem z innymi wstajesz, kłaniasz się towarzystwu, żegnasz panią domu i odchodzisz. Nie, hrabino, wogóle zbyt mam słabe kwalifikacye do życia towarzyskiego, ażebym miał się na coś podobnego narażać.

— Widzę, że pan wogóle trzyma się zdaleka od życia towarzyskiego, nigdzie pana nie widać, czyżby pan był mizantropem?... Nie... przepraszam, cofam moje wyrażenie. Z niejednego, co pan przedtem powiedziałeś, wywnioskowałam, że pan kochasz wszystkich ludzi.

— Kocham ludzkość, to prawda, lecz kochać wszystkich ludzi—to niemożliwe. Zbyt wielu między nimi niegodziwych, ograniczonych, egoistów, okrutnych—tych kochać nie mogę, chociaż żałuję ich, że wychowanie i okoliczności nie dozwoliły im stać się godnymi miłości.

— Okoliczności i wychowanie? Wszak charakter zależy głównie od skłonności wrodzonych. Czy pan jest innego zdania?

— To, co pani nazywasz wrodzonymi skłonnościami, nie jest niczem innym, jeno zbiegiem okoliczności.

— Więc zdaniem pańskim, człowiek niegodzi-



wy nie jest odpowiedzialny za złe czyny i dlatego nie należy go nienawidzić?

— Przyczyna nie usprawiedliwia wniosku, nie winien jest bezwątpienia—ale pomimo to godzien nienawiści. Pani również niewinna jesteś temu, żeś piękna, a przecież jesteś godną najwyższych holdów...

— Baronie. Zaczęliśmy poważną rozmowę, jak na rozsądnych ludzi przystało, czyż zasługuję, byś mnie pan uważał za lalkę żądną komplementów?

— Przebacz pani — nie w tej myśli to powiedziałem.

Tilling z wyrazem podziwu i tklivości spojrział na mnie; nie spuściłam oczu, chociaż powinnam była to uczynić. Czułam, że się rumienię i widziałam, że jeżeli miał mnie za przystojną, to w tej chwili wydać mu się musiałam stokroć piękniejszą.

Zakryłam twarz wachlarzem i odezwałam się tonem obojętnym:

— Daleś pan doskonałą odpowiedź ministrowi...

Tilling wstrząsnął głową, jakby budząc się ze snu.

— Ja?... Odpowiedź?... Nie przypominam sobie. Przeciwnie, zdaje mi się, że go rozgniewała uwaga o tym Springauf—Hopsauf—czy jak tam ten dzielny strzelec się zowie.

— Huppsauf.

— Do twego przekonania, pani, trafiły jedynie moje słowa; innych musiałem obrazić oświadczeniem, jak na cesarsko-królewskiego pułkownika nadzwyczaj niewłaściwem... Posadzić o „kamienne serce” tego, który tak dzielnie zmiatał wrogów, to bluźnierstwo!

Wiadomo, że żołnierz im obojętniej zabija, tem więcej zyskuje uznania.

— Dlaczego wstąpiłeś pan do wojska?

— Tem pytaniem dowodzisz pani, że zajrzałaś wgląd serca mojego. Nie ja, nie trzydziestodwuletni Fryderyk Tilling, który odbył trzy kampanie, obierał sobie ten zawód, lecz dziesięcio, czy dwunastoletni Frycek, który wzrastał bawiąc się drewnianymi konikami łańskimi i blaszanymi żołnierzami, którego ojciec, generał o piersi zdobnej w order, i wuj porucznik, zachęcali pytaniami: „Chłopcze, czem chcesz zostać? I czemżeby innym, aniżeli dzielnym żołnierzem, mającym prawdziwą szablę i dosiadującym żywego konia.”

— Mój Rudolfek otrzymał dziś także pudełko blaszanych żołnierzy, lecz nie dam mu ich. Jednakże dlaczego to, gdy Frycek wyrósł na Fryderyka, nie porzuciłeś pan nienawistnego zawodu.

— Nienawistnego? Zbyt silne wyrażenie! Nienawidzę tego, że istnieje taki porządek rzeczy, który na ludzi nakłada barbarzyński obowiązek prowadzenia wojny, ponieważ jednak istnieje, ponieważ jest nieunikniony, nie mogę mieć żalu do ludzi, którzy poddają mu się i ulegle poświęcają dla niego siły, zdrowie, a nawet życie. Gdybym porzucił służbę wojskową, czyż przez to zmieniłby się porządek rzeczy. Gdybym ja ustąpił, ktoś inny wszedłby na moje miejsce i ten ktoś inny w razie potrzeby dałby życie swoje, czyż nie lepiej, że już ja sam to zrobię?

— Ale w innym zawodzie przyniósłbyś pan może więcej pożytku ludzkości.



— Wątpię. Oprócz wojskowości, nie nauczono mnie niczego gruntownie. W każdym położeniu zawsze można świadczyć ludziom dobrze i działać pożytecznie, ja zaś sposobności mam dosyć, ażeby tym, którzy służą podemną, życie uczynić znośnem, Co do mnie, który przecież także mam prawo nazywać się człowiekiem przeciętnym, to zawsze doświadczam bądź co bądź przyjemności, gdy ludzie oddają mi szacunek, jaki należy się powołaniu mojemu, względnie więc znośną zrobiłem karierę. U kolegów jestem lubiany i cieszę się z tego. Majątku nie posiadam żadnego, jako człowiek zatem prywatny, nie miałbym środków do okazania się pożytecznym, dlatego więc miałbym porzucać dotychczasowy tryb życia mojego?

— Choćby dlatego, że zabijanie bliźnich sprzeciwia się naturze pańskiej.

— Gdy chodzi o to, ażeby bronić własnego życia przed tymi, którzy na nie godzą, wtedy osobiste rozumowania schodzą na plan drugi. Wojnę bardzo słusznie nazywają mordem masowym, ale każdy żołnierz, wzięty pojedynczo, nie może siebie samego uważać za mordercę. Nie przeczę, że mnie samemu wszelkie bitwy są wstrętne, że ból odczuwam i brzydzę się ludźmi, gdy na polu bitwy uszu moich dochodzą jęki rannych. Cierpię wtedy, bardzo cierpię, ale wszak i żeglarz często napadany bywa podczas burzy morskiej chorobą, a jednak, jeżeli choćby jako tako jest dzielny człowiekiem, zawsze trzymać się będzie pokładu okrętu i gdy potrzeba, pójdzie znów pruć fale morskie i... chorować.

— Powiadasz pan wyraźnie, „gdy być musi,” czyż jednak wojna wogóle *być musi*?

— To już inna kwestya, w każdym bądź razie, człowiek pojedynczy *musi* iść na bój razem z innymi, chociażby to nie było po jego woli, idąc zaś, wypełnia tylko obowiązek powołania swojego.

W ten sposób rozmawialiśmy jeszcze czas dłuższy pocichu, ażeby nie przeszkadzać grającym w pikietę, a może potrosze dlatego, ażeby uwagi nasze nie doszły ich uszu.

Tilling opisał mi kilka epizodów wojennych, zaznaczył wrażenia swoje i wstręt swój, ja powołując się na Buckle'a, zaznaczyłam, że w miarę wzrastającej cywilizacyi obniża się duch wojowniczy — wszystko zaś to nie było stosowne dla uszu tych starych wojaków, zabawiających się teraz grą w pikietę. Uważałam za dowód wielkiego zaufania do mnie ze strony Tillinga, iż mówiąc na ten temat, otworzył bez zastrzeżeń duszę swoją przedemną, tą zaś drogą kierował się prąd sympatyj pomiędzy nami.

— Widzę, że tam gorliwie szepczecie o czemś — zawołał ojciec mój przy tasowaniu kart — co to tak spiskujecie?

— Opowiadam hrabinie epizody wojenne.

— Ho! ho, do tego ona już od dziecka przyzwyczajona, bo i ja często opowiadałam jej tego rodzaju historie. No, panie doktorze! sześć kart, *quart major*.

Podjęliśmy nanowo przerwana rozmowę. Nagle, kiedy oczy nasze się spotkały i w słowach jego



brzmiała szczerą nutą wielkiego zaufania, na myśl przyszła mi... księżniczka... Ugodziło mnie to w serce i odwróciłam głowę; on przerwał w środku zdania i zapytał:

— Co znaczy ten nagły wybuch niezadowolenia na twarzy pani hrabiny, czy wypowiedziałem może coś takiego, co się pani nie podoba?

— Nie nie... to tylko pewna myśl przykra przeleciała mi przez głowę, ale proszę, mów pan dalej.

— Zapomniałem zupełnie, o czym mówiłem, czy więc nie lepiej będzie, gdy pani wyjawi przedemną tę myśl przykrą? Daruj mi pani, że tak otwarcie przed nią odsłoniłem swoje serce.

— Zupełnie to niemożliwe, ażebym panu powiedziała, o czym myślałam przed chwilą.

— Niemożliwe? Czy wolno mi zgadywać? Dotyczyło to pani?

— Nie.

— Może mnie?

Skinęłam głową na znak potwierdzenia.

— Coś przykrego i to o mnie, coś takiego, czego mi nawet pani powiedzieć nie może? Może...

— Napróżnoby pan łamał głowę nad rozwiązaniem, zresztą odmawiam dalszych wyjaśnień.

Mówiąc to, wstałam i spojrzałam na zegarek.

— Już pół do dziesiątej — pożegnaj cię teraz, ojcze.

Ojciec podniósł wzrok od kart i zapytał.

— Czy idziesz gdzie dziś jeszcze z wizytą?

— Nie, ojcze, pójdę do domu, wczoraj tak późno spać się położyłam!...

— A więc jesteś śpiącą? Baronie, ładny komplement dla ciebie,

Zaprotestowałam ze śmiechem.

— Nie jest to bynajmniej winą barona, wiedliśmy bowiem bardzo ożywioną rozmowę.

Pożegnałam ojca i doktora, Tilling zaś prosił, ażeby mnie mógł odprowadzić do powozu. W przedpokoju podał mi okrycie i pod rękę sprowadził po schodach. W drodze wstrzymał się na chwilę i zapytał bardzo poważnie:

— Niech pani hrabina będzie szczerą, czyż rozniewałem ją czemkolwiek?

— Zapewniam pana, że nie...

— W takim razie jestem uspokojony.

Podsadzając mnie do powozu, silniej przycisnął rękę moją i poniósł ją do ust.

— Kiedyż będę mógł złożyć uszanowanie swoje?

— Co sobotę jestem — chciałam coś więcej powiedzieć jeszcze, ale lokaj zamknął drzwiczki, on się uklonił głęboko i cofnął z powrotem.

Rzuciłam się w kąt powozu i chciałabym była najchętniej płakać, jak dziecko rozkapryszone. Wściekła byłam na siebie i wyrzucałam sobie, że tak zimno, tak niegrzecznie, tak prawie po grubiańsku obeszłam się z człowiekiem, który mi tyle okazał sympatyi... A wszystkiemu winna ta przebrzydła księżniczka... Ach, jakże ja ją nienawidzę! Czyżby to była zazdrość?... I nagle zrozumiałam, że ja go kocham. „Kocham, kocham, kocham“ słyszałam w uderzeniu kół o bruk uliczny, „kocham“ czytałam na szybach mijanych latarni — „kocham“ czułam w wo-



ni rękawiczki, którą on przed chwilą przykładał do ust swoich.

\* \* \*

Nazajutrz zapisałam w czerwonym kajecie: „Kłamstwem jest wszystko, co wczoraj głosiły mi koła powozu i latarnie uliczne, kłamstwem, albo co najmniej, przesadą. Czuję sympatyę ku zacnemu i rozsądnemu człowiekowi, ale uczucia miłości? Nie! Serca mego nie rzucę na ofiarę komuś, który należy do innej. I on odczuwa sympatyę ku mnie, rozumiemy się w wielu razach, może nawet jestem jedyną, przed którą on zwierzył się z poglądami swojemi na wojnę, ale czyż z tego wynika, aby on miał być we mnie zakochany? Tem mniej ja mogłabym się w nim zakochać. Może nie było to serdecznie, że poprosiłam go na te dni, które jako oficjalne są mu tak wstrętne, ale kto wie, czy nie stało się nawet lepiej. Niech tylko minie kilka tygodni, niech się zatrą w pamięci wrażenia, które mnie tak poruszyły, a wtedy będę mogła zupełnie spokojnie rozmawiać z Tillingiem, wiedząc, że on kocha inną. Mnie zostanie przyjemność milej pogawędki z człowiekiem, który umie rozmawiać tak zajmująco. Prawdziwa to przyjemność obcować z takim człowiekiem, taki on inny, taki zupełnie inny, aniżeli ludzie przeciętni. Doprawdy, zadowolona się czuję, że tak spokojnie mogę o nim sądzić, wczoraj bowiem była chwila, że zaczynałam się obawiać, czy spójność moja nie będzie zakłócona i czy nie padnę ofiarą dręczącej zazdrości o księżniczkę... dziś odbiegła mnie zupełnie ta obawa.“

Tego samego dnia jeszcze odwiedziłam przyja-

ciółkę moją, Laurę Griesbach, tę samą, u której dowiedziałam się o śmierci mego biednego Arna. Ze wszystkich kobiet młodych, z jakimi wiązały mnie stosunki, ona największem cieszyła się u mnie zaufaniem. Nie dlatego, ażebyśmy zgadzać się miały pod każdym względem w poglądach, ale dlatego, że rozumialiśmy się do pewnego stopnia. Jako dzieci bawiliśmy się razem, jako żony młodo poślubione, stałyśmy towarzysko na jednym i tym samym poziomie, wreszcie obcowałyśmy prawie codziennie z sobą, i ztąd wytworzyło się, że tak powiem, przyzwyczajeniowe zaufanie. Pomimo też różnic w niektórych zapatrywaniach, pożycie towarzyskie z nią było mi przyjemne. Pomiędzy Laurą a mną zawsze taka przewijała się nić serdeczna, że materiału do kilkogodzinnej pogawędki nie mogło zabraknąć; wspomnienia lat młodocianych, dzieci nasze, zdarzenia z życia towarzyskiego, kwestye toalety, romansów angielskich, wszystko to zawsze dostarczało sporo tematu do rozmowy.

Syn Laury, Ksawery, był w wieku mego Rudolfa i najmiłszym jego towarzyszem zabaw, córka Laury Beatrycza, podówczas dziesięć miesięcy dopiero mająca, z góry przeznaczoną była na przyszłą hrabinę Rudolfovą Doczky.

— Nareszcie się pokazałaś—przywitała mnie Laura.—W ostatnich czasach wiedziesz zupełnie życie pułstelnicy; dawno już także nie widziałam przyszłego zięcia mego, a Beatrycza gotowa mu to wziąć za złe. Opowiadaj więc, co się z tobą dzieje, co robi Różia i Lili? Dla Lili chowam bardzo ciekawą nowinę, którą mąż mój przyniósł wczoraj z kawiarni, dowiedziałam się bowiem o kimś, że na zabój jest



w niej zakochany, a ja myślałam, że ten ktoś kręci się około ciebie... opowiem ci to jednak później. Widzę, że masz nową suknię ładną, zapewne od Francine'y? Zaraz poznałam — ona ma swój odrębny styl. Kapelusze niezawodnie kupiłaś u Gindreau? Bardzo ci w nim do twarzy. Wiesz, on teraz robi kostyummy, nie tylko same kapelusze, i z wielkim gustem je robi. Wczoraj wieczorem u Dietrichsteinów — dlaczego ty nie byłaś? — Nina Chotek miała toaletę od Gindreau'a i o mało, że nie wyglądała ładnie...

W ten sposób mówiła jeszcze dłużej, a ja odpowiadałam w tonie podobnym, zgrabnie jednak naprowadziłam rozmowę na plotki kursujące w „towarzystwie” i w sposób zupełnie niekrępowany rzuciłam pytanie:

— Czy słyszałaś, że ta księżniczka utrzymuje stosunek miłosny z jakimś baronem Tillingiem?

— Słyszałam, ale w każdym razie jest to coś *de l'histoire ancienne*, dziś bowiem nawet wróble na dachach świergoczą, że księżniczka przepada za aktorem z Burgu. A może ciebie interesuje ten baron Tilling? Co... rumienisz się? nie pomoże żadne przeczenie głową, wypowiadaj się lepiej! Przecież to nie do wiary, ażebyś tak długo mogła pozostać zimną, bez serdeczniejszego uczucia. Chciałabym bardzo dla własnej satysfakcji widzieć cię zakochaną. Tilling, co prawda, nie jest partią dla ciebie odpowiednią, masz świetniejszych stokroć konkurentów, on zaś podobno nie ma żadnego majątku, a chociaż sama jesteś dostatecznie bogatą, to jednak jest on także dla ciebie za stary... Ile też lat miałby dzisiaj ten biedny Arno? Tej chwili, kiedy ty odczytywałaś mi na głos list

brata, nie zapomnę nigdy, chociaż strasznie przykre to jest wspomnienie. Złe to urządzenie wogóle ta wojna. Dla niektórych jest ona wynalazkiem świętym, mój mąż na przykład niczego więcej nie życzy sobie, jak tylko, ażeby jak najprędzej znów przyszło do czegoś. Pragnie on gorąco wyróżnić się, co doskonale pojmuję i gdybym była żołnierzem, życzyłabym sobie pola do odznaczenia, ażeby posunąć się naprzód w karierze wojskowej.

— Albo wrócić kaleką lub być zabitym.

— Nie myślę o tem nigdy, myśleć nawet nie wolno, śmierć na wojnie spotyka tych, którym jest przeznaczoną, jak tobie na przykład przeznaczenie powiedziało, że staniesz się młodą wdową.

— Więc gwoździ wypełnienia tej wroźby musiała wybuchnąć wojna z Włochami?

Kto wie, czy mojem przeznaczeniem nie jest być żoną względnie młodego generała?

— W takim razie musiałoby przyjść w krótkim czasie do wojny ogólnie europejskiej, ażeby twój Griesbach miał pole do szybkiego awansu. Widzę, że porządek rzeczy na świecie w bardzo wązkim zamykasz korycie, powiedz lepiej, co miałaś mi opowiedzieć odnośnie do Lili.

— A więc kuzyn wasz, Konrad, szalenie jest w niej zakochany i przypuszczam, że w najkrótszym czasie oświadczy się o jej rękę.

— Wątpię bardzo, Konrad zanadto jest motylkowaty i wesoły, ażeby miał myśleć o małżeństwie.

— Eh! moja droga, wszyscy oni są motylkowaci i weseli, a jednak żenią się, gdy się zadurzą; powiedz raczej, czy on podoba się twojej siostrze.



— Dotychczas nic nie zauważyłam.

— W każdym razie dobraby to była bardzo dla Lili partya, z chwilą bowiem gdy umrze wuj jego, Drontheim, on odziedziczy klucz Sielawicki. A propos Drontheimów, czy wiesz, że Ferdynandek, tensam, który cały majątek przepuścił na baletnicę Grill, żeni się teraz z córką bogatego bankiera? No! taka nie dostałaby innego męża... Czy będziesz dzisiaj na wieczorze w ambasadzie angielskiej? Znow nie? Może masz i rację... Co? chcesz już odchodzić?

— Niestety! muszę, mam jeszcze do spełnienia kilka wizyt nieuchronnych.

Nie pozwoliłam się nakłonić do pozostania „jeszcze tylko pięciu minut“, chociaż wizyty były tylko wymysleniem. Te beztreściwe frazesy były mi wstrętne, duszę moją bowiem opanowało tylko jedno życzenie: ponownej takiej rozmowy, jaką miałam wczorajszego wieczora. Ach! ten Tilling, ten Fryderyk Tilling... Więc koła powozu mówiły prawdę? Istotnie, stało się coś niezwykłego, przeniosłam się w inny świat uczuć, wobec których drobiazgi wypełniające życie przyjaciółki mojej, toalety, opowiadania o zamierzonych małżeństwach, o spadkach, wydawały mi się tak nikłe, takie śmieszne, że aż dławiliły mnie... Dalej, dalej do innego świata, gdzie inne panuje powietrze! Tilling jest wolny, „księżniczka przepada za aktorem z Burgu“... może on jej nie kochał nawet nigdy? Kochał, czy nie kochał, zawsze stosunek był tylko przelotny... nic więcej.

\* \* \*

Minęło dni sporo, a ja nie zobaczyłam nigdzie Tillinga, chociaż co wieczór bywałam w teatrze, z kądzawsze dążyłam na wieczorne przyjęcia w tej błogiej nadziei, że go spotkam. Napróżno.

W dniu przeznaczonym na przyjęcia gości znalazł się tłum cały, ale w tym tłumie nie było jego. Zresztą czyż mogłam się spodziewać wizyty Tillinga po owem ostatniem pożegnaniu? Teraz przypominałam sobie także doskonale, iż na moje zapewnienie o przyjęciach w każdą sobotę, skłonił się nisko i rzekł: „Rozumiem, nie chcesz pani, ażebym przychodził wogóle.“ To rzecz pewna, że zmartwiłam go owego wieczoru i że on unikał spotkania się ze mną. Cóż jednak miałam czynić? Paliło mnie coś, ażeby go znow zobaczyć, skutki niegrzeczności mej wyrównać i znow przepędzić bodaj godzinkę na pogawędce z nim razem. W braku Tillinga, ucieszyłam się, że przynajmniej pojawiła się u mnie kuzynka jego, ta sama, u której wówczas poznałam go na balu. Gdy weszła, serce uderzyło mi żywiej, nareszcie dowiem się czegoś o tym, co myśl moją zajmuje. Nie zdobyłam się jednak na odpowiednie zapytanie; czułam, że nie zdołam wymówić nazwiska jego bez zdradzieckiego rumieńca, rozmawiałam więc z przybyłą o wielu różnych przedmiotach, między innemi i o pogodzie, tylko nie o tem, co mi leżało na sercu.

— Marto — rzekła ona niespodzianie — mam polecenie dla ciebie: mój kuzyn, Fryderyk, przesyła ci ukłony; odjechał wczoraj.

Czułam, że błędę.

— Odjechał? Dokąd? Czy przeniesiono jego pułk?

— Nie. Wziął tylko urlop kilkodniowy i pospie-



szyl do Berlina, matka bowiem jego jest umierająca. Żal mi biedaka, ubóstwiał on swoją matkę.

Po dwóch dniach otrzymałam list obcą zaadresowany ręką, noszący na kopercie stempel pocztowy „Berlin“. Zanim rzuciłam okiem na podpis, widziałam już, że to pismo pochodziło od Tillinga. Brzmiało ono jak następuje:

*Berlin, ulica Fryderykowska 8, 30-go marca 1863 r.  
Godzina pierwsza po północy.*

„Droga hrabino! Muszę przed kimś ból swój wypowiedzieć... Dlaczego skarżę się przed panią właśnie? Czyż daje mi cośkolwiek prawo ku temu? Nie! A jednak zmusza mnie jakiś pociąg nieprzeparty; czuję, że mogę liczyć na twoje współczucie. Gdybyś znała tę umierającą, musiałabyś ją kochać. Jakież to serce tkliwe, jaki umysł jasny, jaka pogoda w usposobieniu, jaka czcigodność! Teraz grób to wszystko pochłonie — niema nadziei!

Cały dzień spędziłem u jej łoża i noc tu przepędzę, a ta noc będzie dla niej ostatnią...

Biedaczka, cierpiała strasznie. Teraz uspokoiła się, siły znikają, puls ustał prawie; oprócz mnie, czuwają jeszcze dwie osoby: siostra jej i doktor.

Straszne jest rozstanie się z życiem! Śmierć każdemu z nas przeznaczona, wiemy o tem, a jednak nie umiemy sobie wyobrazić, że ona bezlitośnie wydrze nam kiedyś osoby najdroższe.

Czem była ta matka dla mnie, napróżno kusiłbym się wypowiedzieć...

Wie ona o tem, że umiera, i kiedym przyjechał dziś rano, przyjęła mnie okrzykiem radości.

— Nareszcie! jak to dobrze, że raz jeszcze pozwolił mi Bóg oglądać cię w życiu, mój Fryderyku, a tak się bałam, ażebyś nie przybył za późno.

— Przecież ty jeszcze wyzdrowiejesz, matuchno! — zawołałam.

— Nie, o tem niema już mowy, mój ty stary chłopaku. Słowami zdawkowej pociechy nie odbieraj nastroju uroczystego tym chwilom ostatnim, jakie z sobą spędzamy, powiedzmy sobie raczej: „Do widzenia.“

Padłem na kolana przy łożku matczynem i zakłakałem rozpaczliwie.

— Widzisz, mój Fryderyku, ty płaczesz, a ja ci nie mówię wcale zdawkowego: „nie płacz,“ przeciwnie, cieszy mnie, że pożegnanie z najlepszą twoją i najdawniejszą przyjaciółką czyni ci przykrość, bołzy twoje dają mi rękojmię, że na tej ziemi długo pozostanę niezapomniana.

— Dopóki życia mojego, matko!

— Wspominając mnie, przypomnij sobie zawsze, że dużo w życiu miałam z ciebie pociechy i że z wyjątkiem trosk, jakie sprawiały mi choroby twoje w dzieciństwie i z wyjątkiem drżeń serca, gdy uczestniczyłeś w wojnie, samych tylko radości moich byłeś powodem. Tyś mi dopomagał znosić wszelkie krzyże pielgrzymki życiowej. Błogosławię cię za to wszystko, moje dziecko.

Nowy atak boleści przerwał jej mowę. Jęknął pierś jej rozdzierające, widok tych rysów tak mi dro-



gich, a wykrzywionych teraz cierpieniem, rwały mi serce w kawały. O tak! śmierć strasznym i zawziętym naszym jest wrogiem. Widok agonii przywołał na pamięć moją wszystkie inne agonie, widziane na placu boju lub w lazaretach. Gdy też pomyślę sobie, że my, ludzie, nieraz samowolnie i z radością mordujemy jedni drugich, że młodzież pełną sił i ochoty do życia pchamy w paszczę śmierci, z którą nawet starość, zmęczona życiem, walczy jeszcze rozpaczliwie, to wtedy gardzę ludzkością!

Jakże straszliwie długą jest ta noc dzisiejsza... i gdybyż jeszcze ta biedna chora usnęła, ale ona leży i oczy ma otwarte. Pół godziny zwykle przepędzam u jej łoża, potem skradam się do tego arkusza papieru, ażeby bodaj kilka słów nakreślić i znów powracam na dawne stanowisko. Już godzina czwarta! W tej chwili właśnie posłyszałem, jak na wszystkich wieżach okolicznych zegary wydzwaniały cztery razy — zimno mi, rozpaczliwie, że nie mogę dopomóc w niczem, małym się czuję, gdy pomyślę, że czas tak równo płynie ku wieczności, podczas gdy istota gorąco kochana przestanie niezaślugo mierzyć czas na godziny. Im zimniejszy, im bardziej bez czucia jest ten czas dla boleści mojej, z tem większą tęsknotą chciałbym się schronić pod skrzydła kogoś, o którym przypuszczam, że ma serce, umięjące współczuć boleści. I dlatego znęcił mnie ten papier biały, pozostawiony przez lekarza, i dlatego ślę go pani, i dla tego...

Siódma godzina. Już po wszystkim!

— Do widzenia, mój stary chłopaku! — to były ostatnie jej słowa.

Potem zamknęła oczy i zasnęła. Śpij spokojnie, moja matko stara!

Wśród leż całując drogie ręce pani, jej aż do śmierci zbolały

*Fryderyk Tilling.*

List ten posiadam dotąd jeszcze: pomieła się i wyblakła karta, ale nie sprawił tego czas, nie te dwadzieścia pięć lat uszkodziły list, ale łzy moje i pocałunki, jakimi wówczas pokrywałam te kochane litery. „Zbolały aż do śmierci“ pisał, a ja — ja chciałam wtedy aż pod niebo skakać z radości. Nie było w liście ani jednego wyrazu o miłości, a jednak składało to pismo najwyraźniejszy dowód, że ten, który je wysłał, nie mógł kochać innej kobiety, jeno odbiorczynię listu. Jeżeli w takiej chwili życia, u łoża konającej matki nie starał się wypłakać boleści swojej przed księżniczką, ale przedemną, to chyba złożył jasny dowód sympatyj, wobec którego wszelki cień zazdrości musiał zniknąć bezpowrotnie.

Tego samego dnia przesałam wieniec uwity ze stu wielkich kamelij białych, z różą czerwoną pośrodku, różą na pół rozwiniętą. Czy on zrozumie, że blade, bezwonne kwiaty, jako symbol żałoby, należą się jego matce, a różyczka płomienna — *jemu?*

\* \* \*

Minęły trzy tygodnie. Konrad Althaus oświadczył się o moją siostrę i otrzymał kosza; nie wziął jednak tragicznie tego wypadku i, jak dawniej, gorliwie odwiedzał dom nasz, w towarzystwach zaś nie przestawał nam nadskakiwać. Powiedziałam mu pe-



wnego razu, że podziwiam go jako niewzruszenia wiernego wasala.

— Ciesz się mnie to wielce — mówiłam — że się nie gniewasz na nas, z drugiej jednak strony dowodzi to także, że miłość twoja dla Lili nie musiała być tak gwałtowną, jak mówisz, uczucie bowiem wzgardzone zwykło być złe i mściwe.

— Mylisz się, czcigodna kuzynko, kocham Lili do szaleństwa. Z początku zdawało mi się, że serce wybrało ciebie, byłaś jednak zawsze dla mnie tak chłodną, że w porę zdołałem stłumić kielkujące uczucie; potem trochę, ale na krótko, zajmowała mnie Róża, w końcu jednak zrodziła się we mnie miłość do Lili — i tej skłonności pozostanę wiernym do końca życia.

— Już to ty właśnie zdolny jesteś do takiego długotrwałego uczucia — zaśmiałam się szczerze.

— Ona, albo żadna!

— Ależ ona nie chce ciebie, mój biedny Konradku!

— Czy to ja pierwszy, który dostał kosza i który tak długo powtarzał swoje oświadczyzny, aż wreszcie przy czwartym, czy przy piątym razie został przyjęty już choćby dlatego, ażeby położyć kres jego natręctwu? Lili nie zakochała się dotychczas we mnie i chociaż nie umiem sobie dobrze wytłomaczyć dlaczego, to jednak godzę się z tym faktem. Że pomimo przynęty, jaką dla każdego dziewczęcia tworzy miano żony, oparła się związkowi, z punktu stosunków światowych bardzo dobremu, to podoba mi się nawet z jej strony i dlatego więcej teraz jestem w niej zakochany, aniżeli przedtem. Zwolna, kropla

po kropli, wzruszy ją moje przywiązanie i wzbudzi wzajemność, a wtedy będę ci jeszcze szwagrem, droga Marto. Mam nadzieję, że ze swej strony przeskadzać mi chyba nie będziesz.

— Przeciwnie, podoba mi się ten twój system, polegający na uporze. W ten sposób powinno się zawsze zdobywać dziewice, tu potrzeba nakładu czasu i czułości, jak mówią Anglicy *to owe and to win*. Starać się i zdobywać po to, ażeby zdobyć, za wielki to trud dla dzisiejszej młodzieży naszej; oni chcieliby bez trudów używać szczęścia i brać w posiadanie serca, jak się zrywa kwiatki po drodze.

Tilling, jak się dowiedziałam, od czternastu już dni powrócił do Wiednia, ale nie pokazał się u mnie; o spotkaniu się z nim w salonach nie mogło być mowy z powodu żaloby. Pocieszałam się jednak nadzieją, że przecież przyjdzie, albo przynajmniej, że coś napisze, ale dzień upływał za dniem bez spełnienia pragnień serca mojego.

— Nie rozumiem, co się z tobą dzieje — rzekła ciotka Marya, wchodząc do mojego pokoju. — Od pewnego czasu jesteś taka wzburzona, taka roztargniona... Żle zrobiłaś, bardzo źle, że nie wybrałaś sobie nikogo z twoich konkurentów; taka samotność nie dla ciebie. Spleen, jaki cię ogarnął, jest następstwem twojej samotności. Czy byłaś już u spowiedzi wielkanocnej? Wpłynęłoby to dobroczynnie na ciebie.

— Sądzę, że i jedno i drugie, t. j. i małżeństwo i spowiedź powinno mieć źródło w miłości, nie zaś służyć jako środek kuracyjny od spleenu. Z konkurentów moich nie spodobał mi się żaden, co się zaś tyczy spowiedzi...



— Największy już czas, jutro Wielki Czwartek. Masz już bilety na uroczystość obmywania nóg?

— Dał mi je ojciec, ale nie wiem doprawdy, czy będę mogła pójść.

— Koniecznie być powinnaś, nic piękniejszego i wzniolejszego nad tę ceremonię nie zobaczysz w życiu, bo to tryumf pokory chrześcijańskiej. Cesarz i cesarzowa na klęczkach pełzają, ażeby obmyć nogi nędzarzy i nędzarek — czyż to nie symbol nikłości chwwały ziemskiej wobec majestatu Boga?

— Powiedz lepiej, ciociu, co wczoraj, gdy mnie nie było, porabiał Rudolfek?

Tym sposobem rozmowę skierowałam na inny przedmiot, gdzie nie mogło już być zdań odmiennych pomiędzy nami, że bowiem Rudolf Doczky był najmilszym, najoryginalniejszym najmądrszym dzieckiem na świecie — na to zgadzałyśmy się obiedwie.

Na drugi dzień postanowiłam jednak pójść na ceremonię obmywania nóg. W kilka minut po dziesiątej, czarno ubrane, jak przystało w Wielki Tydzień, udałyśmy się z Różą do Burgu. W sali ceremonialnej ustawiono estradę, zarezerwowaną dla członków arystokracji i ciała dyplomatycznego. Na prawo i na lewo oddawano sobie ukłony, nawet galerya nabita była szczelnie, ale tam siedziało towarzystwo „mieszane“, nie zaliczające się do śmietanki. Krótko mówiąc, zawsze i wszędzie wyróżnienia kastowe, nawet tu, przy uroczystości, mającej być symbolem... pokory.

Powiodłam okiem po sali, po tych umundurowanych postaciach, gdy nagle ujrzałam Tillinga, który zajął krzesło nawprost naszej trybuny. Jak gdyby prąd elektryczny przeszedł po mnie. Nie patrzył on

jednak w naszą stronę. Twarz jego nosiła ślady przeżytych w ostatnich tygodniach zmartwień, jakiś bezdennie głęboki smutek rozpostarł się w rysach jego twarzy. Uparcie wpatrywałam się w niego w tej nadziei, że siła magnetyczna oczu moich zmusi go do popatrzenia w stronę, gdzie siedziałam — ale na próżno.

Ceremonia trwała krótko i zaraz po jej ukończeniu sala zaczęła się opróżniać.

— Ach, jakaż to ładna uroczystość! — szeptała Róża, a w oczach jej przebiegała radość.

Nie odpowiadałam nic, zajęta bowiem byłam jedną tylko myślą, czy Tillinga spotkamy u wyjścia. Nie łatwo było jednak dojść do drzwi; goście zatrzymywali się, witali, rozmawiali i gwar zapanował wszędzie. Słyszałam, jak ktoś mówił: „Potwierdza się zatem wiadomość o zaręczynach Fredzia Drontheima z córką bankiera — ależ to skandal!“

I ci ludzie opuszczali salę po ceremonii, która ma być symbolem pokory!...

Nareszcie dobiłyśmy się do bramy, przed którą czekały powozy nasze, obściane przez tłumy ludu. Zaledwieśmy wyszły, gdy przed sobą ujrzałam Tillinga. Skłonił się poważnie i rzekł:

— Chciałem podziękować pani za jej wieniec wspaniały.

Podalam mu rękę, ale nie mogłam wydobyć z siebie ani jednego wyrazu.

Powóz zajechał, trzeba nam było wsiadać, Tilling podniósł rękę ku czapce i chciał już odejść, gdy ja zdobyłam się na wysilek rozpaczliwy i powiedziałam:



łam głosem, który nawet mnie samej obco brzmiał w uszach:

— W niedzielę pomiędzy drugą a trzecią... będę w domu.

Znów skłonił się w milczeniu i powóz nasz ruszył.

— Musiałaś się chyba przeziębicić, Marto — zauważyła siostra moja — to zaproszenie, skierowane do barona, wypowiedziałaś takim głosem, jak gdybyś miała silną chrypkę. Dlaczego także nie przedstawiłaś mi tego ponurego pułkownika? W życiu swoim nie widziałam bardziej poważnej twarzy.

\* \* \*

W dniu oznaczonym i w oznaczonej godzinie lokaj zameldował barona Tillinga, ja zaś przedtem jeszcze zanotowałam w czerwonym kajecie:

„Przeczuwam, że dzień dzisiejszy rozstrzygnie o losie moim, tak mi uroczyście i błogo na duszy, tak jestem pełna otuchy! Muszę utrwalić to usposobienie na tych kartkach, aby kiedyś, gdy pamiętnik ten będę przeglądała, po latach wielu, ta chwila, której z takim wzruszeniem oczekuję, żywo stanęła mi w pamięci. Może stanie się inaczej, niż myślę, może zupełnie tak samo... w każdym razie pragnę się przekonać, o ile rzeczywistość odpowiedziała przeczuciu. On mnie kocha, o tem przekonał mnie list jego, pisany przy łożu umierającej matki, — że jest nawzajem kochany, musiała mu powiedzieć różyczka w przesłanym wieńcu... Nareszcie spotkamy się bez świadków, do głębi wzruszeni, on spragniony pociechy, ja zaś pocieszyć go pragnąca; sądzę, że nie zamieni-

my słów wielu... ze łzami w oczach, dłoń w dłoni, zrozumiemy się wzajemnie... Dwie szczęśliwe, kochające się istoty — poważne, uroczyste, ogromnie szczęśliwe... Niech sobie „towarzystwo“ przyjmie wiadomość o miłości naszej zupełnie zimno i obojętnie, niech sobie mówią, że dla Marty Doczky taki mąż, jak Tilling, jest lichą partią... Już pięć minut po drugiej, lada chwila powinien nadejść... ktoś dzwoni... Ach jakże mi serce bije, drzę, czuję, że...”

Więcej nie zdążyłam napisać, ostatnie zaś wiersze nagryzmoliłam prawie zupełnie nieczytelnie, co dowodzi, że bicie serca i drzenie nie było tylko figurą retoryczną.

Przypuszczeniom moim zadała klam rzeczywistość; Tilling w ciągu swej wizyty półgodzinnej trzymał się zdaleka i zachował się chłodno; prosił, ażebym przebaczyła mu, że ośmielił się pisać do mnie, ażebym to wykroczenie przeciwko etykietce złożyła na karb bóleści jego, mówił, że w podobnie przykrych chwilach nie zdają sobie ludzie sprawy ze swych czynności, następnie opowiedział jeszcze kilka szczegółów z życia i ostatnich chwil matki swojej, ale o tem, czego oczekiwałam, nie wyrzekł ani słowa; więc i ja stawałam się coraz powściągliwszą i chłodniejszą. Gdy wstał i zaczął się żegnać, nie uczyniłam nic, ażeby go zatrzymać i nie zapraszałam go, ażeby mnie znów odwiedził, ale gdy już wyszedł, rzuciłam się ku mojemu jeszcze otwartemu kajecikowi i dokończyłam przerwane zdanie:

„Czuję, że wszystko pomiędzy nami skończone... Haniebnie zawiodłam się, przypuszczając, że on mnie kocha. Gotów on teraz myśleć, że jest mi równie



obojętnym, jak ja jemu. Prawie odpychając zachowałam się względem niego i czuję, że nie powróci tu więcej. Pomimo to, niema na całym świecie drugiego dla mnie, oprócz niego. Taki dobry, taki szlachetny, taki rozumny! Fryderyku! żadna takby ciebie nie kochała, jak ja cię kocham, a już najmniej ta księżniczka twoja, do której chyba musiałeś się znów nawrócić. Rudolfie, synu mój, ty będziesz teraz osłodą życia mojego i ostoją. Odtąd niema w sercu mojem miejsca dla innej miłości, jedna tylko miłość — macierzyńska wypełniać będzie moje życie... A gdy powiedzie mi się wychować cię na wzór tamtego człowieka, gdy kiedyś oplakiwać będziesz śmierć moją, jak on płacze nad śmiercią swojej matki, to powiem, że osiągnęłam cel wytknięty.“

Właściwie mówiąc, głupi to zwyczaj takie pisanie pamiętnika, chyba bowiem celu notowanie zmieniających się ustawicznie, coraz nowych pożądań, postanowień, poglądów na świat i życie, gdy się zaś później odczytuje kartki, wstydzić się przychodzi swej własnej zmienności.

Drugi dzień świąt Wielkanocnych był jednym z najpiękniejszych dni wiosennych; zwyczajem uświęconą, tłumna przejażdżka po Praterze, będąca zapowiedzią wielkiego *corso* majowego, wypadła tym razem świetnie. Do dnia dzisiejszego pamiętam, jak ta świetność, to rozweselenie świąteczne, ta wiosna ślądary swoje, nie licowały ze smutkiem przepełniającym moje serce. Za nic na świecie nie byłabym się wyszekała smutku mojego, za nic nie chciałabym odży skać wesołości zwykłej, w sercu zapanowała próżnia, odkąd poznałam Tillinga. Chociaż bowiem wszystkie

pozory mówiły, że kochałam nieszczęśliwie, wiedziałam jednak, że kochałam, a to uczucie pomnaża rozkosze życia. Ciepłe, miłe uczucie, gdy oczyma ducha patrzyłam na drogie mi rysy, musiało mi teraz wystarczać zupełnie.

Wśród zgiełku, wesołości światowej, tu w Praterze, nie spodziewałam się wcale zobaczyć przedmiotu marzeń swoich, a jednak, gdy obojętnem okiem powiodłam po alei, przeznaczonej dla konnej jazdy, zdaleka już ujrzałam galopującego oficera, w którym, pomimo, że wzrok mam krótki, poznałam Tillinga. Skoro się zbliżył i chciał minąć nas salutując, na ukłon jego odpowiedziałam nietylko ukłonem, ale także kilkakrotnem i ożywionem skinieniem ręki, a chociaż w tej samej chwili przyszło mi na myśl, że popelniam coś bardzo niestosownego i niedającego się usprawiedliwić, to jednak cofnąć już się nie mogłam — stało się.

— Komuż to dawałaś takie znaki? — zapytała Lili — czy może ojciec jest w pobliżu?... Ach! rozumiem teraz — dodała. — Nieodstępny Konradek przechadza się w alei.

Bardzo w porę pojawił się ten „nieodstępny Konradek.“ Szczerze wdzięczną byłam temu wiernemu kuzynkowi i wdzięczność swoją dałam mu natychmiast uczuć.

— Moja Lili — odezwałam się — nie mów o nim tak z przekąsem, dobry chłopiec z tego Konrada, z pewnością znalazł się tu tylko dla ciebie. Powinnaś ulitować się nad nim... O! gdybyś ty wiedziała, jakie to słodkie uczucie, które się miłością zowie, nie była-



byś dla niego tak nieczułą. Jakże łatwo mogłabyś uszczęśliwić tego dobrego, poczciwego chłopca!

Lili popatrzyła na mnie zdumiona.

— A jeżeli on jest mi obojętnym, Marto?

— Więc może kochasz innego?

Potrząsnęła główką.

— Nie, nie kocham nikogo jeszcze.

— Jakaś ty biedna!...

Przejechałyśmy się jeszcze dwa, czy trzy razy po alei, lecz tego, którego szukały teraz oczy moje na wszystkie strony, nie zobaczyłam po raz drugi; opuścić musiał widocznie Prater...

\* \* \*

W kilka dni później, w godzinie poobiedniej wszedł do mieszkania mojego Tilling. Nie byłam samą, ojciec i ciotka na chwilę przedtem przyszli mnie odwiedzić, oprócz nich zaś w salonie znajdowała się jeszcze Róża, Lili, Konrad i pan minister „Bądźcobądź.” Musiałam się przezwyciężać, ażeby powstrzymać okrzyk, jaki sprawiła mi ta niespodzianka. Radość moja minęła wszakże szybko, Tilling bowiem, przywitawszy obecnych i siadając na moją prośbę naprzeciw mnie, odezwał się chłodno:

— Przyszedłem z wizytą pożegnalną, pani hrabino, w tych dniach opuszczam Wiedeń.

— Czy na długo? I dokąd? i dlaczego? i z jakiego powodu?—krzyżowały się zapytania z różnych stron, podczas gdy ja pozostałam niemą.

— Może na zawsze. Jadę na Węgry, prosiłem

o przesiedlenie mnie do innego pułku — z miłości dla Madziarów—odpowiadał Tilling każdemu z osobna.

Uspokoiliam się już i rzekłam, siląc się na spokój:

— Szybko powzięłeś pan tę decyzję. I cóż takiego złego zrobił panu Wiedeń, że go tak nagle chcesz porzucić?

— Zbyt ruchliwe to miasto i zanadto wesołe, a ja znajduję się w takim obecnie usposobieniu, że tęsknię do jakiejś puszczy samotnej.

— Cóż znowu — wtrącił Konrad — im smutniej nam na duszy, tembardziej szukać powinniśmy rozrywek; jeden wieczór, spędzony w teatrze Karola, działa w każdym razie bardziej orzeźwiająco, aniżeli długie przepędzanie czasu w samotności.

— Już ja wiem, coby cię najskuteczniej wyleczyło ze smutku, mój drogi baronie — zawołał mój ojciec.—Wojny nam dajcie! rażnej, wesołej! Ba! ale niestety na nią się nie zanosí wcale, przeciwnie, grozi nam pokój, którego końca nawet przewidzieć trudno.

Nie mogłam powstrzymać się, ażeby nie podkreślić myśli tego dziwnego zestawienia wyrazów:

— Wojna—a wesoła, pokój—a groźny!

— „Bądźcobądź”—potwierdził minister—obecnie na horyzoncie politycznym nie dostrzegamy żadnej ciemnej chmury, ale „bądźcobądź” chmury ciężarne piorunami ukazują się często zupełnie niespodziewanie i nigdy nie można mieć pewności, czy jakieś, choćby nic nie znaczące nieporozumienie, nie zdoła wywołać wojny. Niechaj to panu służy jako pocieszenie, panie pułkowniku. Co do mnie, który tylko zajmuję się zewnętrznymi sprawami państwa, życzyłbym



sobie „bądźcobądź“ jak najdłuższego pokoju, gdyż on jedynie sprzyja pomyślnemu przeprowadzeniu spraw, należących do wydziału mojego, co jednak wcale nie przeszkadza, ażebym z punktu widzenia wojskowych nie miał uznawać życzeń każdego oficera.

— Pozwól mi, ekscelencyo,—przerwał Tilling— że znów co do mnie muszę się zastrzedz przeciwko przypuszczeniu, jakobym pragnął wojny. Muszę także zaprotestować, jakoby punkt widzenia rzeczy *żołnierski* miał być inny, aniżeli *ludzki*. My, żołnierze, jesteśmy po to na świecie, ażeby bronić kraju, gdy mu zagraża nieprzyjaciół, podobnie, jak straż ogniowa jest na to, ażeby gasiła pożar, gdy wybuchnie. Cóż upoważnia żołnierza do życzenia sobie wojny, albo strażaka do wywoływania ognia? I jedno i drugie jest nieszczęściem, wielkiem nieszczęściem, a człowiekowi nie wolno cieszyć się z nieszczęścia bliźnich swoich.

„Jakiś ty dobry, jakiś ty zacny“ — pomyślałam sobie w duchu, słuchając tych słów, a on mówił dalej:

— Wiem, że dla jednego, t. j. strażaka, otwiera się sposobność odznaczenia się przy pożarze, drugiemu wojna daje pole do wybicia się w górę, pomimo to jakże małoduszny, jak bezlitośny musi być ten człowiek, któremu własny interes wydaje się aż tak olbrzymim, że jęk ludzki nie odzywa się echem w jego sercu, jaki okrutny musi on być, gdy widząc boleści, nie odczuwa ich w sobie! Pokój największem jest dobrodziejstwem, jest on, jak to pan sam słusznie zauważył, jedynie sprzyjającym ludzkości — i pan chciałbyć przyznać drobnemu ułamkowi tej ludzkości, jaką jest armia, prawo pożądania klęski dla całego

narodu? Wojny nie prowadzi się dlatego, ażeby zadołować chęć odznaczenia się u żołnierza, ani domów się nie podpala na to, ażeby strażak mógł się okazać dzielny i zyskać pochwały?

— Porównania pańskie szwankują mocno, panie pułkowniku — odparł mój ojciec — pożary przynoszą tylko szkodę, wojny zaś dają ojczyźnie wielkość i potęgę. W jakiż sposób powstały i wzrosły państwa, jeśli nie przez wyprawy zwycięskie? Ambicya osobista nie jest dla żołnierza jedyną wojenną podniętą; przedewszystkiem duma narodowa znajduje tu najobfitszy pokarm, jednym słowem, patryotyzm.

— Otóż to — przerwał Tilling — doszliśmy do jądra rzeczy! Nie pojmuję istotnie, dlaczego właśnie my, wojskowi, mamy wziąć w arendę uczucie, które przecież wrodzone jest każdemu człowiekowi uczciwemu. Każdy kocha ziemię, na której wzrósł, każdy pragnie podźwignięcia się i dobrobytu dla współziomków swoich. Sławę i szczęście zdobyć można w inny sposób, nietylko za pomocą wojny, powód zaś do dumy dają inne także czyny, nietylko wojenne. Przyznam się otwarcie, że ja np. więcej szczyć się takim poetą, jak Anastazy Grün, aniżeli tym albo owym wodzem armii.

— Jakże można porównywać jakiegoś poetę, choćby najslawniejszego, bodaj z feldmarzałkiem! — zawołał mój ojciec.

— I ja tego samego jestem zdania, że nie może być tu porównań, wawrzyny bowiem, nie poplamione krwią, są zawsze daleko piękniejsze.

Teraz nawet ciotka Marya wtrąciła się do rozmowy.



— Jak żyję, nie słyszałam jeszcze oficera, odzywającego się w ten sposób! Gdzież ten zapał wojenny, gdzie wasza waleczność?

— Uczucia te znam dobrze, łaskawa pani. Niemi ożywiony poszedłem po raz pierwszy na wojnę jako chłopiec dziewiętnastoletni, gdy jednak zobaczyłem całą okropność rzezi, gdy patrzeć musiałem na zwierzęcość rozpasaną, to wtedy zapał mój wojenny ostygł i w bój szedłem od tej pory już nie z ochotą, ale z rezygnacją.

— Odbyłem trochę więcej wojen, aniżeli ty— rzekł mój ojciec — widziałem wiele scen strasznych, a jednak zapał nie opuścił mnie nigdy i kiedy w roku 1849, już jako człowiek w latach podeszły, szedłem z papą Radeckim na Węgry, taką samą odczuwałem radość, jak gdyby to było po raz pierwszy.

— Racz wybaczyć, ekscelencyo, ale pan należysz do starszej generacyi, do tej generacyi, w której duch wojowniczy żywszy był, aniżeli u nas, u której współczucie dla nędzy ludzkiej mniej miało znaczenia.

— Cóż tu pomocą wszelkie gawędy! Nędza zawsze będzie, temu nie potrafimy zaradzić, mniej jeszcze potrafimy znieść wojny zupełnie.

— Temi słowy stwierdzasz, panie hrabio, dawne, dziś mocno już zachwiane zapatrywania na wszelkie zło społeczne, zapatrywania, które zbiegały się w jednym punkcie, iż z rezygnacją powinniśmy znosić wszystko, co jest nieodzowne, czego jakoby wymaga natura. Gdy jednak na widok nędzy bezmiernej rodzi się w umyśle naszym pytanie: „czyż tak być powinno?“—wtedy serce nie może pozostać równie zimne,

jak rozum, i obok litości rodzi się żal w duszy, nie żaden osobisty żal, ale, że tak powiem, wyrzut sumienia wieku naszego.

— To dla mnie za mądre — rzekł ojciec, wzruszając ramionami—a jednak mogę pana upewnić, że nietylko my starzy z dumą i rozkoszą wspominamy przebyte kampanie, ale że przeważna część młodych i najmłodszych, na zapytanie, czy chętnie pójdą na wojnę, odpowie bez zajknięcia: „Nie mamy innych marzeń nad wojnę.

— Co do *najmłodszych*, to wierzę, bo im w szkole jeszcze zaszczerpiono entuzjazm wojenny. Z tych *młodych* jednak, ręczę, że wielu odpowie: „pójdę chętnie“, jedynie dlatego, iż wedle pojęć, przyjętych u ogółu, taka odpowiedź oznacza męskość, dzielność i rycerskość; gdyby oni odpowiedzieli, że czynią to „niechętnie“, uważanoby ich za tchórzów.

— I jabym się bała—wtrąciła Lili z lekkim dresszczem — to musi być okropne, gdy ze wszystkich stron pędzą kule, a każda z nich grozi śmiercią.

— W dziewczęcych ustach pani strach zupełnie jest naturalny i usprawiedliwiony — odparł Tilling — ale my mężczyźni kłamać musimy i udawać, że nie posiadamy żadnego popędu samozachowawczego... Żołnierzowi nie wolno być litościwym, nie wolno mu okazywać współczucia na wojnie, choćby pod kulą padał jego przyjaciel; humanitarność jego ochrzczonoby mianem bojaźni, sentymentalizmu, tkliwości, co u żołnierza równa się prawie zbrodni.

— Tak bywa, ale tylko na wojnie — rzekł ojciec—jako ludzie prywatni i my przecież, Bogu dzięki, mamy czułe serca.



— Wiem o tem i dlatego uważam wojnę za rodzaj olśniewania człowieka. Z chwilą wybuchu wojny serca milkną i chyba tylko dzieci, gdy się zabawiają w żołnierzy, z góry powiadają sobie; „jeżeli cię uderzę, to nie gniewaj się i niech cię to nie boli, bo to tylko wojna.“ Więc też, gdy w wojnę zabawiać się poczną ludzie dojrzały, trudno czynić umowę: „jeżeli cię zabiję, to nie miej mi tego za złe, bo to tylko... wojna.“ Z chwilą tą mord przestaje być mordem i zwie się samoobroną, rabunek przestaje być rabunkiem a jest tylko rekwirowaniem prowiantu, wście w ogniu nie są nieszczęściami pożaru, ale... zdobytą pozycją.“ Wszystkie przepisy prawa, wszystkie nauki, zaczerpnięte z katechizmu, cała moralność nie znaczy wtedy nic, dopóki nie rozegra się partya na szachownicy świata. Lecz, jeżeli czasem zapalczywość nasza na chwilę się osłabi, i jeżeli umowa, że to wszystko „nie znaczy nic“, zniknie z umysłu, i jeżeli oczom naszym przedstawi się to bezdenne nieszczęście w całej prawdzie swojej, wtedy człowiek jednego tylko pożąda—śmierci.

— Właściwie tak być powinno — zauważyła ciotka Marya w zamyśleniu.— Przykazania w rodzaju tych, jak: „nie zabijaj“, „nie kradnij“, „kochaj bliźniego jak siebie samego“, „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...“

— Wszystko to „nie znaczy“ na wojnie— z naciskiem rzekł Tilling.

— I słusznie—dokończył mój ojciec, poczem tłumaczyć nam począł, że Pan Zastępów, Bóg wojny i t. d., i t. d.

Owładnęło mną wielkie wzruszenie, wszystko bowiem, co Tilling przed chwilą wygłosił, czyniło mi go bardziej ukochanym jeszcze... a ja mam go żegnać, może żegnać na zawsze, tu, wobec ludzi rzucić mu zimne słowa pożegnania i w ten sposób zakończyć wszystko?... Nie, to byłoby nad siły moje! gdyby się tak stało, gdyby drzwi za nim się zamknęły na zawsze, musiałabym zażawiona rzucić się na podłogę. Nie! tak być nie może! Wstałam, szybko zbliżyłam się do Tillinga i rzekłam:

— Jeszcze chwilę, panie baronie... ja... ja pokazać przecież... panu muszę tę... tę fotografię, o której mówiliśmy niedawno.

Spojrzał na mnie zdziwiony, nie rozmawialiśmy bowiem nigdy o żadnej fotografii, pomimo to jednak poszedł za mną do przeciwległego rogu salonu, gdzie na stole leżały przeróżne albumy i — z kąd słów naszych nie mógł nikt posłyszeć.

Otworzyłam pierwsze lepsze album i Tilling pochylił się nad niem, ja tymczasem odezwałam się półgłosem, drżąc na całym ciele:

— Nie puszczę pana... ja chcę i muszę jeszcze z panem pomówić.

— Jeżeli pani sobie tego życzysz, hrabino — a więc słucham.

— Nie, nie teraz, nie w tej chwili, pan musisz przyjść tu jutro o tej samej godzinie.

Zdawał się wahać.

— Ja... ja *rozkazuję* panu, przez pamięć na matkę pańską, którą razem z panem opłakiwałam rzwie.

— O Marto, Marto!



Imię moje w jego ustach stało się pierwszym promieniem szczęścia dla mnie.

— A więc jutro?—powtórzyłam, patrząc mu przenikliwie w oczy.

— Jutro o tej samej porze.

Zrozumieliśmy się! Nareszcie!...

Powróciłam do towarzystwa, Tilling zaś przycisnąwszy rękę moją do ust swoich i pożegnawszy gości, wyszedł.

— Oryginalny z niego człowiek—zauważył ojciec mój, potrząsając głową—gdyby słyszały władze to wszystko, co nam tu powiedział, to wątpię, czy znalazłby u nich poklask.

\* \* \*

Gdy dnia następnego wybiła godzina oznaczona, wydałam rozporządzenie, ażeby nikogo, oprócz Tillinga, nie wpuszczano do mnie.

Przyjścia jego i rozmowy, która miała nastąpić, oczekiwałam z trwogą dziwną, niecierpliwością błogą i zakłopotaniem pewnem; nie zdawałam sobie sprawy, co mu powiem, nie zastanawiałam się bowiem nad tem, co mam powiedzieć i gdyby Tilling odrazu mnie zapytał: „a więc czem pani mogę służyć?“ nie mogłabym mu przecież z otwartością powiedzieć: „ja cię kocham, zostań ze mną.“ Chyba nie będzie mnie badał w takiej ostrej formie i dusze nasze zrozumieją się bez podobnie kategoriycznych pytań i bez odpowiedzi równie namiętnych! Mnie o jedno tylko chodziło, raz jeszcze chciałam go zobaczyć i gdy już inaczej być nie może, gdy odjeżdżać musi, powiedzieć

mu w głębi serca odczute „do widzenia,“ serdeczne słowo pożegnania.... Na samą myśl pożegnania oczy moje napelniły się łzami, a właśnie w tej chwili pojawił się on w moim pokoju.

— Jestem posłuszny rozkazowi, ale co widzę, pani płakała, pani płaczesz jeszcze?

— Płaczę?... nie... to tylko dym jakiś razi mnie z przyległego pokoju... ten kominek przebrzydły... ale proszę, siadaj pan, baronie... tak się cieszę, że pan przyszedłeś...

— Ja zaś szczęśliwym się czuję, że mi pani przyjść kazałaś. Czy przypomina sobie pani? Rozkaz jej brzmiał w imieniu matki mojej, a usłyszawszy to. postanowiłem powiedzieć pani wszystko, co mi leży na sercu. Ja...

— Dlaczegoż pan nie kończy?

— Przypuszczałem, że łatwiej mi przyjdzie wypowiedzieć, co czuję.

— Tyle zaufania okazałeś mi pan wtedy, owej nocy bolesnej, gdy czuwałeś nad łóżkiem umierającej matki, że, że... nie rozumiem, dlaczego teraz miałbyś znów stracić to zaufanie?

— W tej uroczystej chwili straciłem zupełnie grunt pod nogami, ale potem opanowała mnie znów moja zwykła nieśmiałość. Widzę teraz, że przekroczyłem wówczas prawa moje i ażeby ich po raz drugi nie przekroczyć, stroniłem od pani.

— W istocie, spostrzegłam, że mnie pan unika i dlaczego?

— Dlaczego?... dlaczego?... — Oto dlatego, że panią ubóstwiam.

Nie odpowiedziałam nic i tylko dla ukrycia po



mieszania, odwróciłam głowę, ale i on był pomieszany. W końcu jednak zapanowałam nad sobą i przerwalam milczenie:

— A dlaczego chcesz pan opuścić Wiedeń?

— Z tego samego powodu.

— Czy zamiaru tego nie możnaby cofnąć?

— Możliwość niewątpliwie, bo jeszcze nominacya niezdeterminowana.

— W takim razie... zostań pan!

On uchwycił rękę moją i zawołał tylko:

— O Marto — o Marto moja!

Po raz drugi nazwał mnie po imieniu, a wykrzykniki te upajająco brzmiały w uszach moich... W tem upojeniu trzeba mi było odpowiedzieć wyrazem, któryby brzmiał równie słodko i który zawierałby wszystko, czem wezbrane było serce moje. Podnosząc też oczy moje na niego, szepnęłam cicho:

— Ach ty mój jedyny!

W tej samej chwili otwarły się drzwi i wszedł mój ojciec.

— A więc jesteś, a ten głupiec służący powiedział mi, że cię niema w domu, odrzekłam mu na to, że poczekam aż powrócisz... Dzień dobry, baronie, po wczorajszym pożegnaniu prawdziwą niespodziankę zrobiłeś mi, że cię tu znajduję.

— Wyjazd mój zaniechany, ekscelencyo, przyszedłem więc...

— Złożyć córce mojej powitalną wizytę? Tak, to mi się podoba! Wiesz, Marto, co mnie do ciebie sprowadza! Sprawa czysto familijna...

Tilling wstał:

— Może przeszkadzam?

— Eh, mój interes nie jest zbyt pilny.

W duszy chciałabym była i ojca i wszystkie sprawy familijne posłać gdzieś choćby do antypodów; trudno o mniej pożądane przerwanie rozmowy. Tillingowi nie wypadało teraz nic innego, jeno wyjść, po tem jednak, co zaszło pomiędzy nami, oddalenie się jego chwilowe nie oznaczało jeszcze rozłąki; myśli i serca nasze zespoliły się z sobą.

— Kiedyż znów panią zobaczę? — zapytał zciacha, całując mnie przy pożegnaniu w rękę.

— Jutro o dziewiątej rano w Praterze, będę konno — odpowiedziałam szybko i tak samo cicho.

Ojciec dość zimno pożegnał odchodzącego, gdy zaś Tilling znalazł się już po za drzwiami, zapytał poważnie, marszcząc brwi:

— Co to wszystko ma znaczyć? Każesz służbie mówić, że niema cię w domu, a ja znajduję cię tête-à-tête z tym panem?

Zarumieniłam się po uszy, na poły z gniewu, na poły z zakłopotania.

— Jakaż to sprawa familijna, o której chciałeś ze mną mówić, ojczu?

— Właśnie to ona! Pragnąłem oddalić twojego konkurenta, ażeby ci powiedzieć, co ja o nim myślę. Dla naszej rodziny niebagatelną to jest rzeczą, gdy ty, hrabina Doczky, z domu hrabianka Althaus, na szwank narażasz swoją dobrą sławę.

— Kochany ojczu, stróżem opinii mojej i honoru mojego najlepszym jest syn mój, Rudolf, jeżeli zaś chodzi o twoją władzę ojcowską, to muszę ci oznajmić, że pomimo wielkiego szacunku, jaki



czuję, ojczu, dla ciebie, z pod tej władzy wyrosłam już i jestem wdową samodzielną. Nie pragnę wcale brać sobie kochanka, o co mnie widocznie, ojczu, podejrzewasz, gdybym jednak zdecydowała się po raz drugi wyjść za męża, to zastrzegam sobie, że wybiorę tylko tego, którego upodoba serce moje.

— Więc może masz zamiar poślubić Tillinga? No, ładnaby to była historia! Już dalibóg powiem ci, że miłszyby mi był... nie, nie powiem już lepiej! Ale chyba nie nosisz się z takim dzikim pomysłem?

— I cóż ojciec ma do zarzucenia baronowi? Przecie niedawno sam proponowałeś mi na uczcie jakiegoś porucznika, potem kapitana, wreszcie majora, a Tilling jest nawet podpułkownikiem!

— To właśnie najgorsze! Gdyby był człowiekiem prywatnym, możnaby mu poglądy, jakie wygłosił wczoraj, przebaczyć, ale gdy wojskowy w ten sposób mówi, to już jeden krok dzieli go od zdrady. Czuję, że on bardzo rad podałby się do dymisji, ażeby tylko nie być narażonym na niebezpieczeństwo, gdy przyjdzie znów pociągnąć na wojnę, bo on widocznie obawia się trudów i cierpień. Że jednak nie posiada żadnego majątku, powziął myśl bardzo mądrą i chce ożenić się bogato. Na Boga! mam wszakże nadzieję, iż córka starego żołnierza, który w czterech wojnach brał udział, a gotów choćby dziś jeszcze odbyć piątą, wdowa po młodym walecznym bojowniku, który znalazł śmierć na polu sławy, nie zechce służyć jako środek dla karyery Tillinga.

Mówiąc to, ojciec wielkimi krokami chodził po pokoju, na twarz wystąpił mu rumieniec, a głos drżał

ze wzruszenia; ale i ja także byłam wzruszona do głębi. Ta cała frazeologia, ta gadanina czcza i puśta, to napadanie na człowieka przezemnie ukochanego — wszystko oburzało mnie, ale brakowało mi argumentów, wiedziałam też, że obrona moja nie zrównoważy krzywdy bezdennej, jaka się dzieła teraz wobec podobnych oskarżeń. Ojciec mój nie rozumiał zupełnie zapatrywań barona i wobec wczoraj wypowiedzianych uwag Tillinga mówił jak ślepy o kolo-rach, a ja bezsilną byłam, ażeby mu wzrok przywrócić. Nie mogłam wpoić w niego, ażeby ludzi i rzeczy mierzył inną skalą, nie czysto żołnierską, milczałam przeto. Dla ojca milczenie to wydać się mogło dowodem, że mnie przekonał, zawstydził i zamiary przeciął w zarodku, ja jednak właśnie w tej chwili ze zdwojoną siłą uczuwałam tęsknotę za człowiekiem, którego zapoznawano, i tem usilniej postanowiłam oddać mu rękę. Na szczęście, byłam wolną i chociaż niechęć ojca mogła mnie zasmucać, to jednak powstrzymać bicia serca mojego nie była zdolną. Po cóż się zresztą smucić w takiej chwili? Wielkie szczęście, jakie w ostatnim kwadransie otworzyło ku mnie swe ramiona, zbyt pociągało mnie swym urokiem, ażeby dać mogła przystęp zwątpieniu.

\* \* \*

Rano obudziłam się z takim uczuciem, jakiego doznaje dziecko, gdy się budzi w dzień gwiazdkowy, i jakiego raz tylko w życiu doznałam rankiem w dniu moich zaślubin. To samo niewypowiedziane oczekiwanie, ta sama pewność, że dziś musi się przytrafić coś radosnego, wielkiego. Dysonansem było



mi wprowadzie wspomnienie słów wyrzeczonych przez ojca, ale wrażenie ujemne pierzchno szybko.

Nie było jeszcze dziewiętej, gdy przy wjeździe do alei w Praterze kazałam się zatrzymać powozowi i dosiadłam konia, wysłanego przedtem z masztalerzem. W powietrzu unosiła się wiosna, łagodna i wonna, dzień był wprowadzie bezsłoneczny, ale tem przyjemniejszy, bo promienie słońca spadały już dawno na ziemię i na moje serce. W nocy mżył deszczyk, liście drzew świeciły świeżą zielonością, a ziemia oddychała przyjemną wilgocą.

Zaledwie ujechałam jakieś sto kroków, gdy po za sobą posłyszałam tentent kopyt końskich i za chwilę głos:

— Dzień dobry, Marto, ach! jakże się cieszę, że cię tu spotykam!

Był to Konrad, jak zawsze „nieodzowny.“ Mnie spotkanie to nie ucieszyło wcale, gniewałam się na siebie, że mogłam tak niezręcznie naznaczyć rendez-vous w Praterze, który nie był przecie wcale prywatną moją własnością i o którym wiedziałam, że aleja dla jeźdźców w piękny poranek wiosenny zawsze jest zapelnioną. Konrad zwolnił biegu swojemu koniowi i tak się zachowywał, jak gdyby „nieodzownie“ pragnął mi towarzyszyć, a tu właśnie zdaleka ujrzałam Fryderyka Tillinga, galopującego naprzeciwko.

— Kuzynku — rzekłam — przyznasz chyba, że jestem ci wierną towarzyszką, wiesz także zapewne o tem, ile trudu zadaję sobie, ażeby Lili dobrze usposobić dla ciebie.

— Wiem o tem, najzaciejsza z kuzynek.

— Jeszcze wczoraj wychwalałam przed nią wszystkie zalety twoje... bo z ciebie naprawdę dobry chłopiec, taki usługny, taki względny i wyrozumiały.

— Mów prosto, czego sobie życzysz?

— Na razie niczego więcej jak tylko, ażebyś koniowi swojemu wpiał ostrogi i popędził dalej.

Tilling był już bardzo blisko, Konrad zaś po patrzył na niego, potem na mnie, uśmiechnął się z lekka, skinął głową i nie rzekłszy ani słowa, popędził jakby wiatr gonil.

— Znów ten Althaus! — były pierwsze słowa Tillinga, gdy zrównał się ze mną, w słowach zaś tych i wyrazie twarzy czuć było nieukrywaną wcale zazdrość. Ucieszyło mnie to.

— Czy on na mój widok tak uciekał, czy też koń mu się rozbiegał?

— Odesłałam go, ponieważ...

— Hrabino Marto, że też ja właśnie musiałem spotkać panią z tym Althausem! Czy pani wie, iż świat cały twierdzi, że on zakochany jest w swojej kuzynce?

— I świat się nie myli.

— Mówią także, iż stara się o jej względy?

— I to prawda.

— Powiadają nawet, że może mieć nadzieję?

— Prawda, nawet nadzieję mieć może...

Tilling zamilknął, a ja uszczęśliwiona patrzyłam w twarz jego.

— Wejrzenie pani przeczy słowom własnym — wyrzekł po pewnym przestanku — wejrzenie to bowiem zdaje się mówić: „ten Althaus kocha mnie bez nadziei.“



— Mnie? Ależ on wogóle mnie przecież nie kocha, przedmiotem jego starań jest siostra moja, Lili.

— Zdjęłaś mi pani kamień z serca, ten człowiek bowiem był powodem, że chciałem opuścić Wiedeń; nie zniósłbym, gdybym patrzeć musiał...

— I jakież jeszcze powody skłaniały pana do chęci opuszczenia Wiednia? — przerwałam.

— Obawa, że skłonność moja tak wzrośnie, iż nie będę jej mógł dłużej ukrywać; bałem się być śmiesznym i nieszczęśliwym równocześnie.

— Czy może teraz jeszcze czuje się pan nieszczęśliwym.

— O Marto!... Od wczoraj żyję wśród wiru takich uczuć, że od zmysłów prawie odchodzę, i strach mam zarazem, jak ten, który się zbudził ze snu słodkiego. W gruncie rzeczy bowiem miłość moja jest beznadziejna, bo i cóż mogę ofiarować? Dziś uśmiecha się do mnie łaskawość pani i sprawia, że się czuję w siódmym niebie... jutro — albo później może trochę... cofniesz pani względy swoje i pograżysz mnie w przepaść rozpacz... Nie! nie poznaję sam siebie, ja, człowiek zawsze taki spokojny, zastanawiający się nad wszystkim, wróg wszelkiej przesady, mówię teraz samemi hyperbolami...

— Pomówmy zatem i o moich powątpiewaniach... Księżniczka...

— Więc i do uszu pani doszła ta plotka? Niema w niej ani odrobiny prawdy.

— Nie dziwię się, że pan przecyzysz, to pański obowiązek.

— Owa dama, której serce usidlił obecnie jakiś aktor z Burgu (na jak długo, nie wiadomo,

bo jej serce przechodzi z rąk do rąk) — otóż dama owa nawet od najbardziej dyskretnego człowieka nie wymagałaby wcale tajemnicy. Już choćby z tego względu możesz mi pani wierzyć, a zresztą czy chciałbym opuszczać Wiedeń, gdyby pogłoska ta była uzasadnioną?

— Zazdrość nie rozumuje, czy sądzisz pan, że ja również naznaczyłabym panu tutaj schadzkę po to tylko, ażeby spotkać się z moim kuzynkiem Konradem?

— Ach! jakże mi ciężko tak spokojnie jechać obok pani... Do nóg chciałbym upaść, albo przynajmniej całować rączkę twoją drobną.

— Mój Fryderyku — odpowiedziałam czule — takie wybuchy nie są konieczne potrzebne, wystarczą słowa do okazania szacunku, równie dobrze, jak padanie na kolana.

— Słowa nie zastąpią pocałunku.

Na wspomnienie tego wyrazu, jakiś prąd elektryczny przebiegł po nas obojgu, długo patrzyliśmy w oczy swoje i czuliśmy, że nawet wzrokiem można się całować...

On przemówił pierwszy:

— Od kiedy?

Zrozumiałam to niedokończone pytanie doskonale.

— Od czasu owego obiadu u ojca mojego — odpowiedziałam — a pan?

— Pan? To „pan“ jest dysonansem, Marto, jeżeli mam też na zapytanie odpowiedzieć, to musi być inaczej postawione.

— A... a... a... — ty?



— Ja również od owego wieczoru, ale naprawdę zrozumiałem miłość moją przy łożu matki mojej biednej. Z jakąż wtedy tęsknotą biegły myśli moje ku tobie.

— Przypuszczałam to, a jednak nie rozumiałeś, co ci mówiła ta róża czerwona, wpleciona w wieńiec z kwiatów białych, bo inaczej nie stroniłbyś tak odemnie. Jeszcze do tej pory nie mogę pojąć powodów tego stronienia i tego zamierzonego wyjazdu.

— Nie śmiałem nigdy marzyć, ażebyś mogła mi być wzajemną i dopiero, gdy kazałaś mi przyjść do siebie, przez pamięć na matkę moją, dopiero wtedy poczułem, że mogę mieć nadzieję, i że gotowabyś była poświęcić mi życie swoje.

— Jakto? więc gdybym ci się sama, poprostu mówiąc, „nie była rzuciła na szyję,“ ty nie raczyłbyś się nawet starać o mnie?

— Taką wielką masz liczbę konkurentów, że nie chciałbym się być mieszać w ich tłum.

— Tych się nie liczy, przeważna ich część dąży tylko do tego, ażeby nie mnie poślubić, ale bogatą wdówkę.

— Ta sama przeszkoda, również powstrzymywała mnie od starań. Ty jesteś bogatą wdówką, a ja chudopachołkiem, bez żadnego majątku. Lepiej zmarnieć z nieszczęśliwej miłości, aniżeli być posądzonym przez świat, że kobietę, którą się ubóstwia, poślubiło się dla jej majątku.

— Wielbię cię, ty mój dumny, zacny, drogi! Nie byłabym wstanie przypuszczać u ciebie tak niskich rysów charakteru.

— Zkąd ta ufność? Znamy się przecież tak mało.

Zaczęliśmy teraz badać się wzajemnie; po zapytaniu „odkąd?“ się kochamy, nastąpiło drugie: „dlaczego?“ Wyjawiłam mu przeto, że najpierw przyciągnął mnie jego sposób zapatrywania się na wojnę. Co w cichości ducha w sobie urobiłam i przetrzymałam myśląc, że nie może się znaleźć żołnierz, któryby takie same, jak moje, miał poglądy, to on wypowiedział otwarcie. Widziałam wtedy, że umysł jego wyższym jest ponad pojęcia współczesne i ta wyższość jego stanowiła podstawę mojej miłości. Było jednak i więcej jeszcze powodów, a więc postawa męzka, piękna, głos brzmiący tak łagodnie, a zarazem stanowczo, wreszcie miłość, jaką okazał dla matki swojej.

— A ty dlaczego mnie pokochałeś? — przebrałam wyliczanie jego zalet.

— Powodów ku temu tysiąc i jeszcze jeden.

— Wylicz naprzód ten tysiąc

— Wielkie serce, mała noga, piękne oczy, wzniosła dusza, słodki uśmiech, bystry dowcip, biała rączka, prawdziwa kobieca godność, precudne...

— Dosyć, dosyć, nie recytuj tak do tysiąca, wymień raczej ten „jeden jeszcze“ powód.

— Ten jeden jest najprostszy, siłą bowiem swoją przytłacza on wszystkie inne. Kocham cię, Marto, bo... bo cię kocham. Oto ten tysięczny i pierwszy.

\* \* \*



Wprost z Prateru udałam się do ojca.

Przewidywałam, że to, co mam mu oznajmić, wywoła niemiłe uwagi, lecz chciałam nieuniknąć nieprzyjemność zbyć jaknajprędzej i stawić jej czoło pod pierwszym wrażeniem nowo zdobytego szczęścia. Ojciec, przyzwyczajony do późnego wstawania, siedział jeszcze przy śniadaniu nad dziennikami porannymi, razem z ciotką Maryą, również przeglądającą gazety, gdy weszłam do jego gabinetu. Natarczywe wejście moje zdumiało oboje, ojciec odłożył swoją „Presse“, ciotka Marya upuściła na ziemię ulubiony „Fremdenblatt“.

— Ty Marto? o tak wczesnej porze i do tego w amazonce? Co to ma oznaczać?

Uściskawszy staruszków, rzuciłam się na fotel i rzekłam:

— Oznacza to tylko, że wracam prosto z przejażdżki konnej, odbytej w Praterze, gdzie zdarzyło się coś takiego, co wam natychmiast chciałam zakomunikować; i dlatego nie trudziłam się wcale jechać do domu, ażeby zmienić toaletę.

— Musi to być coś bardzo ważnego i nie cierpiącego zwłoki—rzekł ojciec, zapalając cygaro.—No! opowiadaj, czekamy z niecierpliwością.

Czy miałam rozwodzić się długo, przygotowywać dopiero? Wolałam zagać prosto z mostu.

— Zaręczyłam się.

Ciotka załamała rękę, ojciec począł trzeć czoło ręką.

— Nie przypuszczam, ażeby...—chciał coś mówić, ale nie pozwoliłam mu dokończyć.

— Zaręczyłam się z człowiekiem, którego ko-

cham z całego serca, którego cenię i któremu ufam, że uczyni mnie najszczęśliwszą z kobiet, słowem, moim narzeczonym jest baron Fryderyk Tilling.

Ojciec zerwał się z krzesła.

— Masz babo redutę! Po tem wszystkiem, co ci wczoraj mówiłem?

Ciotka Marya potrząsnęła głową i rzekła:

— Daleko chętniej usłyszałabym była inne nazwisko, baron Tilling nie jest żadną partją, po pierwsze nie posiada żadnego majątku, a po drugie zasady i poglądy...

— Zasady jego i poglądy najzupełniej zgadzają się z mojami, na szczęście zaś, nie należę do rzędu tych kobiet, któreby potrzebowały szukać tak zwanych „partyj“.

Teraz zwróciłam się wprost do ojca.

— Ojciec ukochany, nie patrz tak na mnie chmurnie, nie mąć szczęścia, jakiego doznaję w tej chwili, ty mnie zawsze tak gorąco kochałeś.

— Ależ dziecko moje—odparł trochę już ulagodzony, bo nie tak ł two nie łagodziło starca, jak okazana mu czułość i przywiązanie—toć mnie chodzi tylko o twoje szczęście! Ja na miejscu twojem tylko mógłbym być szczęśliwy w pożyciu z człowiekiem, który ciałem i duszą jest żołnierzem.

— Przecież ty nie poślubisz Tillinga — bardzo w porę zauważyła ciotka Marya.

— Wola własna wydaje się w dzisiejszych naszych czasach wszystkiem — rzekł ojciec, wzdychając ciężko.—Oczywiście, że teraz przyszedł twój mąż po da się do dymisy?

— O tem nie mówiliśmy jeszcze z sobą; mnie



oczywiście byliby to najmilsze, boję się jednak, że on tego nie robi.

— Gdy sobie pomyślę—zauważyła ciotka, że ty księciu dałaś kosza i że teraz zamiast się wznieść wyżej, spadasz o kilka szczebli niżej po drabinie towarzyskiej, to...

— Ach! jacyście państwo oboje niegrzeczni! I powtarzacie ustawicznie, że mnie kochacie? Przychodzę po raz pierwszy po śmierci tego biednego Arna, ażeby podzielić się z wami wiadomością, która mnie nad wyraz czyni szczęśliwą, a wy, zamiast cieszyć się moją radością, wyszukujecie wszystko, co zółć może poruszyć: kwestyę rycerskości, drabiny towarzyskie i t. d.

Jakoś w pół godzinki powiodło mi się przekonać staruszków; po rozmowie wczorajszej mniemałam, że ojciec stawiać będzie żywszy opór, i prawdopodobnie, gdybym mu cośkolwiek przedtem była oznajmiła, usiłowałby wszelkimi sposobami stłumić miłość moją. Wobec „fait accompli“ czułem, że opór jego nie zda się na nic, a może oddziało na niego szczęście przepelniające serce moje, dość, że gdy wstałam, ażeby go pożegnać, obiecał przyjść w celu powitania Tillinga już jako przyszłego zięcia swojego.

Jaka szkoda, że czerwone kajeciki moje nic nie mówią o dniu owym, ani o wieczorze, a drobne szczegóły po tylu latach, niestety! wyszły już z pamięci! To jedno wiem tylko, że godziny spędzone wówczas świeciły jak słońce. Na herbatę zaprosiłam całą rodzinę moją, której Tillinga przedstawiłam jako narzeczonego. Rózia i Lili były poprostu za-

chwycione, Konrad zaś krzyknął: „Brawo kuzyneczko!“ i zwracając się do Lili, rzekł: — Teraz ty, kuzyneczko, bierz sobie przykład ze starszej siostry;“ ojciec czy przewyciężył poprzednią niechęć swoją, czy też z miłości dla mnie ukrył ją głęboko, dość, że był bardzo serdeczny, a ciotka Marya rozczulona i słodka.

— „Śmierć i żona od Boga przeznaczona“—rzekła—wszystko dzieje się z woli Opatrzności Bożej, gdy Bóg wam błogosławić będzie, nie opuści was szczęście, o co ja modlić się będę gorąco.

Rudolfa małego przedstawiłam przyszłemu jegu „tatusiowi“ i błogo mi było, gdy ten umiłowany przezemnie człowiek chwycił chłopca w ramiona i rzekł: „Z ciebie, kawalerze, uczynimy człowieka!“

Ojca widocznie korciła myśl jedna i w ciągu wieczoru zapytał Fryderyka:

— Jak przypuszczam, podasz się pan teraz do dymisyi, tem więcej, że z gruntu rzeczy nie jesteś zwolennikiem wojen.

Tilling zwrócił oczy zdziwione na ojca.

— Jabym się miał podać do dymisyi? i cóżbym innego potrafił dziś robić? Przecież nie nauczyłem się niczego więcej w życiu... nie być *przyjacielem* wojny, te jeszcze nie znaczy wcale *zrzekać się służby wojskowej*, tak samo bowiem...

— No tak, no tak—przerwał mój ojciec,—słyszeliśmy niedawno pańskie poglądy, kiedy pan twierdził, że od strażaka nie wymaga się jeszcze, ażeby był podpalaczem.

— Takich przykładów mógłbym przytoczyć więcej! Czy lekarz kocha się w raku albo tyfysie, czy sędzia zachwyca się kradzieżą z włamaniem? Dłaczego



go miałbym wyrzekać się dotychczasowego zawodu? Nic mnie do tego nie zmusza.

— Skłonić mogłaby do tego chęć oszczędzenia żonie przykrości życia garnizonowego i obawa, że w razie wojny...

Ciotka zżymnęła się na te słowa.

— Obawa to nierozsądna, komu bowiem pozwolono doczekać starości, ten żyć będzie długo, pomimo niebezpieczeństw wszelkich.

— Najusilniejszych dołożę starań, by przyszłej żonie oszczędzić, o ile możliwości, wszelkich nieprzyjemności w życiu—rzekł Tilling—większą jednak nieprzyjemnością niż życie garnizonowe, byłby dla niej mąż bez zajęcia i zawodu. Obawa, iż moje wystąpienie z wojska mógłby ktokolwiek poczytać za lenistwo lub tchórzostwo, byłaby dla niej boleśniejszą niż obawa wojny. Nie myślałem o tem nigdy, spodziewam się, że pani Marta również?

— A gdybym postawiła to za warunek?...

— Nie uczynisz tego! Pani jesteś bogatą, ja nie posiadam nic, oprócz stopnia wojskowego i widoków awansu, tego dziedzictwa nie wyrzeknę się, zrzeczenie takie sprzeciwiałoby się wszelkiej godności i pojęciom moim o honorze.

— Brawo, mój synu... teraz pogodziliśmy się zupełnie; grzechem byłoby porzucać karierę. Niezadługo pewnie zostaniesz pułkownikiem i dojdiesz bezwątpienia do rangi generała, ostatecznie możesz zostać komendatem twierdzy, gubernatorem, albo ministrem wojny.

Milczałam. Na tytule pani generałowej, czy gubernatorowej nie zależało mi wcale; mnie było-

by najmilej osiąść gdzieś w ustroniu wiejskiem i życie spędzać u boku ukochanego, poglądy jednak, jakie wypowiedział Fryderyk, bardzo mi były drogie, broniły go bowiem przed podejrzeniami, jakie wyraził ojciec mój i jakie z pewnością krążyć będą po tak zwanym „świecie.“

— Teraz pogodziliśmy się zupełnie—mówił dalej mój ojciec—bo prawdę mówiąc, sądziłem, że głównie dlatego się żenisz, ażeby... no! no! nie patrz na mnie tak groźnie. Mnie się zdawało, iż chciałeś się wycofać do życia prywatnego, a popełniłbyś wtedy czyn bardzo nierozsądny. Marta jest dzieckiem żołnierskiem, wdową po dzielnym wojaku i w głowie nie chce mi się wcale pomieścić, ażeby ona na dłuższy dystans mogła się kochać w człowieku cywilnym.

Tilling roześmiał się na tę uwagę, rzucił na mnie spojrzenie, które mówiło aż nadto wyraźnie: „jak ci ludzie ciebie nie znają?“—głośnie zaś odrzekł:

— I ja tak sędzę! Pani Marta zakochała się nie we mnie, ale w mundurze moim.

\* \* \*

Ślub nasz odbył się we wrześniu tegoż samego roku. Mąż mój wyprosił sobie dla odbycia podróży poślubnej urlop dwumiesięczny. Pierwszym naszym etapem był Berlin. Już przed ślubem wyraziłam życzenie, że na grobie matki Fryderyka pragnęłabym złożyć wieniec ze świeżych kwiatów i podróż naszą rozpocząć od takiej pielgrzymki.

Zatrzymaliśmy się tu cały tydzień, a Fryderyk



zapoznał mnie ze wszystkimi krewnymi swoimi. Pa trzymał wtedy na świat przez różowe okulary i wszyscy oni wydali mi się tak sympatycznymi, jakich nigdy przedtem nie widziałam, szczególnie najlepsze wrażenie sprawiła ciotka Fryderyka, której pierwszą złożyliśmy wizytę. Po niej wnioskując, mogłam osądzić, jak wielkiego serca musiała być jego matka. Pani Kornela Tesser była wdową po generale pruskim i matką oficera Godfryda, chłopca tak ładnego, jakiego nie zdarzyło mi się spotkać. Stosunek matki do syna i odwrotnie tak był czuły, że dopiero wtedy wyobrazić sobie mogłam, jak Fryderyk kochać musiał matkę swoją. Patrząc na to pożycie domowe, już naprzód cieszyłam się, myśląc o tych chwilach, gdy mój syn, Rudolf, będzie dorosłym. Jednego tylko nie mogłam zrozumieć i powiedziałam to Fryderykowi.

— Jak może matka, tak głęboko kochająca syna zezwolić, ażeby jej dziecko jedyne, cały skarb, jaki posiada, ażeby to dziecko obrało sobie zawód tak pelen niebezpieczeństw, jakim jest wojskowość.

— Moja droga—odparł Fryderyk—gdy się dziecko poświęca zawodowi wojskowemu, nikt nie pyta, nie zastanawia się nad tem, że ten zawód jest niebezpiecznym. Tchórzem nazwanoby tego, ktoby się cofał przed niebezpieczeństwem. Każdy z nas wie, że umrzeć musi, a jednak czyż myślimy ciągle o tej śmierci? Zresztą w pojęciach ogółu niema dla szlachcica bez majątku lepszej kariery nad zawód żołnierski.

O ile mi się zdaje, podobałam się także ciotce Kornelii.

— Ach—szepnęła pewnego razu—że też moja biedna siostra nie doczekała tej radości... Posiadać taką synową, widzieć Fryderyka szczęśliwym, byłoby to ziszczenie najgorętszych jej życzeń! Marzyła zawsze, ażeby się ożenił, ale on miał tak wielkie wymagania...

— Nie tak bardzo wielkie, cioteczko, jeżeli zadowolnił się moją osobą...

— Wyciągasz mnie na komplement. Chciałabym, żeby Gotfryd mógł taki sam los wygrać, ale będę musiała pewnie długo czekać; ma on dopiero lat dwadzieścia.

— Nie jednej pannie pewno głowę już zawrócił i nie jedno serce usidlił...—rzekłam żartobliwie.

— Mylisz się; niema lepszego i uczciwszego chłopca! Żona jego będzie bardzo szczęśliwa.

— Jak żona Fryderyka?

— Za lat dziesięć pomówimy o tem, w pierwszych tygodniach poślubnych wszystkie małżeństwa są szczęśliwe; nie znaczy to wcale, ażebym wątpić miała o moim siostrzeńcu i o tobie; przeciwnie, wierzę święcie w to, że szczęście wasze będzie trwałe.

Z Berlina udaliśmy się do niektórych miejsc kąpielowych, że zaś ja, oprócz krótkiej wycieczki do Włoch z nieszczęśliwym Arnem, nie wydalalam się nigdzie z domu, świat cały wydał mi się tak ładnym i tak ponętym, że gdyby nie Rudolf, którego obecność mnie krępowała, z pewnością zaproponowałabym była Fryderykowi ustawiczną taką podróż. Lata całe tak jeździć, całą Europę zwiedzić, potem pu-



ścić się do innych części świata, użyć tego niekrepowania się niczem i nikim, coraz nowe osiągać wrażenia i coraz stawać się bogatszą w doświadczenie życiowe—to dla mnie wówczas wydawało się szczytem szczęścia. Gdziekolwiek bowiem nie przyjechalibyśmy wtenczas, znaleźli się wśród świata nie wiem jak obcego, ludzi obcych, zawsze z sobą nieśliśmy tyle szczęścia, że ono zapępiało nam całe godziny. Niestety! dwa miesiące przeszły zanadto szybko. Fryderyk wniósł podanie o przedłużenie urlopu, ale otrzymał odmowę. Dzień w którym nadeszła ta odpowiedź, był od czasu ślubu pierwszym dniem mojego rozdrażnienia.

— I *to* ludzie nazywają wolnością? — krzyknęłam, kładąc na stół dokument, który w zimny sposób nakazywał nam powrót do domu i już tem samem obrażał mnie srodze.

— Przecież nie jestem wolnym—odparł, śmiejąc się dobrotliwie—mam nad sobą władzę.

— Jedyną władczynią teraz ja być powinnam, a cóżbyś powiedział, gdybym rozkazała ci porzucić wojsko i służbę swoją mnie poświęcić jedynie?

— Co do tego, sprawa już przed ślubem była umówioną.

— Prawda! musiałam się wtedy poddać twojej woli, dziś więc nie możesz być niewolnikiem moim, ty mój drogi, a taki *dumny* panie.

\* \* \*

Przerwaliśmy podróż naszą i pociągnęli do małego miasteczka morawskiego Ołomuńca, gdzie pułk Fryderyka stał załogą. W takiej mieścinie nie mogło

być mowy o żadnem życiu towarzyskiem, więc czas spędzaliśmy zdaleka od ludzi. Z domami pułkowemi zamieniliśmy wprawdzie wizyty ceremonialne, ale nie łąknęłam wcale schodzić się na pogawędki, których osiłą bywały zwykle skargi na sługi i ploteczki małomiastekskie, mąż zaś mój trzymał się zdaleka od wszelkich gier w karty, albo knajpowania z kolegami.

Stokroć szlachetniejszym oddawaliśmy się rozrywkom, o całe niebo w innej przebywaliśmy atmosferze. Wieczorem czytywaliśmy razem, zagłębiali się w tajemnice naukowe i świat otaczający stawał się wówczas małym niezmiernie. Wieczorem czytania te składały się na prawdziwą ucztę dla ducha. Stosunek Fryderyka do Rudolfa wprawiał mnie w zachwyt; pasierb był ulubieńcem ojczyma, który wprawdzie utrzymywał, że nie jest zwolennikiem dzieci i że Rudolfek dlatego wydaje mu się tylko tak miłym i rozkosznym dzieckiem, że jest synem jego Marty. Nieraz snuliśmy przeróżne projekty co do jego przyszłości. Czem będzie? żołnierzem?... Nie! Więc może dyplomata? Ha! może... ale najprawdopodobniej zostanie gospodarzem, w tym bowiem zawodzie, jako przyszły spadkobierca majoratu Doczkych, dosyć będzie miał pola do pracy pożytecznej.

Na święta Bożego Narodzenia zrobiliśmy wycieczkę do Wiednia, gdzie kilka dni postanowiliśmy przepędzić w kole najbliższych znajomych. Wieczór wigilijny spędziliśmy bardzo wesoło, obsiadłszy wokoło wielką choinkę, na której spoczywały przeróżne podarki. Najwięcej darów otrzymał naturalnie mój Rudolfek, chociaż pomyślano o wszystkich. Fryderykowi dostał się odemnie w upominku przycisk sre-



brny, wyobrażający bociana; w dziobku trzymał ten ptak karteczkę z napisem, który spowodował wybuch radości męża mego: „Latem 1864-go roku zjawię się u was.“ Wtedy on przytulił mnie gorąco do piersi i gdyby nie było świadków, może nawet puściłby się ze mną walca.

W pierwszym dniu świąt zebraliśmy się wszyscy u ojca na obiedzie; z nienależących do rodziny był tylko pan minister „Bądźcobądź“ i doktor Bresser. Gdyśmy zasiedli do stołu, w myśli stanął mi ów wieczór, w czasie którego zrozumiałam po raz pierwszy, że kocham mego Fryderyka. Widocznie doktorowi zaświtała ta sama myśl, zapytał bowiem:

— Czy pamięta pani, kiedy w tym samym pokoju z ojcem pani graliśmy w pikietę, a wy oboje gawędziliście przy kominku? Pani sądziłaś zapewne, że taki jestem w grze zatopiony, iż po za *tercyą*, czy *quart-majorem* nic mnie nie może obchodzić, a jednak naładowałem uszu i z brzmienia waszych głosów wywnioskowałem odrazu, że „z tych dwojga będzie para.“ Dziś widzę, że nie tylko jest już para, ale także para szczęśliwa i dobrana.

— Nie mylisz się, doktorze, *jesteśmy* szczęśliwi, ale czy *będziemy* długo?

— Cóżby wam grozić mogło?

— Śmierć—odrzekłam.

— Pocóż takie myśli u ludzi szczęśliwych, zdrowych i młodych?

— Żołnierzowi na niewiele się przyda młodość i zdrowie...

— Niechaj pani porzuci takie myśli smutne, nie

zanosi się przecież na nic groźnego—odparł, a zwracając się do ministra, zapytał:

— Wszak mam rację, ekscelencyo, że na niebie polityki europejskiej nie widać teraz żadnego punktu czarnego?

— Hm! hm! *punktu* nie widać oczywiście, ale przeciąga czarna, ciężka *chmura*.

Zadrżałam na całym ciele i z wielkim niepokojem spojrzałam na mówiącego.

— Tak jest, niestety! Dania trochę zawiele sobie pozwala...

— Jeżeli tylko o Danię chodzi—odparłam uspokojona—to chmura nie grozi piorunami Austrii, i chociaż przykro mi jest, gdy słyszę, że gdziekolwiekby ludzie mają siebie mordować, to jednak w tym wypadku, gdy chodzi o Danię, mogę współczuć, ale się nie lękać.

— Nie miałybyś także powodu do lęku, gdyby nawet chodziło o Austrię w tym wypadku — wtrącił mój ojciec.

— Broniąc praw szleszwicko-holsztyńskich przeciw uroszczeniom Duńczyków, nie zaryzykujemy się zaledwie i nie utracimy ani piędzi ziemi austriackiej.

— Cóżby mnie obchodziła ziemia austriacka, prawa szleszwicko-holsztyńskie, uroszczenia duńskie, gdyby przyszedł rozkaz wymarszu na plac boju wojskom naszym? Wtedy przed oczyma ukazałoby mi się jedno tylko widmo — niebezpieczeństwo, grożące naszym ukochanym.

— Losy jednostek nie biorą się w rachubę, moje dziecko, gdy chodzi o sprawę doniosłości dziejo-



wej. Jeżeli też wojna wybuchnie, to na bok pójść muszą wszelkie troski o najbliższych i jedna tylko troska powinna być wspólną dla wszystkich, czy kraj na tem zarobi, czy straci. W tym wypadku nie mamy się czego obawiać, przeciwnie, możemy tylko rozszerzyć potęgę naszą, a wtedy wyśni się mój sen najśłodczy i dom Habsburgów odzyska przynależną mu koronę Cesarstwa Niemieckiego.

Spojrzałam na Fryderyka, ale on widocznie nie słyszał rozmowy naszej, bo śmiał się i dowcipkował z siostrą moją Lili. Myśli moje krzyżować się poczęły w głowie, ból ścisnął serce, a przed oczyma stanęła wojna i wszystkie jej skutki. On pójdzie na plac boju, może wróci niedołężnym, może to dziecko, które noszę w łonie, będzie sierotą i szczęście, które tak bujnie zakwitło, nie wyda pięknego owocu...

— Racz mi powiedzieć, ekselencyo — zwróciłam się do ministra — czy istotnie stosunki tak się zaostrzyły, że wy, ministrowie i dyplomaci, nie możecie zapobiedz wojnie?

— Nie w naszej mocy utrzymanie pokoju wieczystego; byłoby to szczytne zadanie, ale dotąd równa się utopii. Naszym obowiązkiem jest czuwanie nad interesami państwa i dynastji, przeciwdziałanie niebezpieczeństwu, zagrażającym ich potędze i strzeżenie honoru kraju.

— Innemi słowy — przerwałam zniecierpliwiona — postawiliście sobie za zasadę nieprzyjacielowi szkodzić, z uporem obstawać przy swoim, chociażby racja była po stronie nieprzyjaciela i choćby ten upór wasz nieusprawiedliwiony wywołać miał szereg wojen, albo raczej morderstw! To niegodziwość!

— Jedyna to bądź co bądź droga wyjścia, nie ma innego sposobu załatwiania sporów pomiędzy wającymi się ludami.

— Dlaczegoż jednak ludzie pojedynczo wzięci mają inne sposoby wyrównania tych waśni?

— Dla każdego obywatela kraju najwyższą instancją jest sąd, trybunał, ale narody nie podlegają żadnym trybunałom.

— Zupełnie tak samo, jak u dzikich — przyszedł mi w tej chwili w pomoc doktor Bresser — *ergo* ludy stoją wobec siebie na tak niskim poziomie cywilizacyi, że wiele chyba czasu jeszcze upłynie, zanim utworzy się międzynarodowy trybunał rozjemczy.

— Do tego nie przyjdzie nigdy — zawołał ojciec. — Są spory, które mogą być tylko rozstrzygnięte orężem, lecz nie wyprocesowane sądowo. Gdyby nawet zrobiono próbę i ustanowiono taki sąd rozjemczy, to jeszcze potężniejsze mocarstwa nie poddałyby się jego wyrokom, jak na przykład człowiek honoru, doznawszy obelgi, nie pójdzie do sądu, ażeby ten wymierzył mu sprawiedliwość. Człowiek honoru poprostu pośle wtedy sekundantów i będzie się bił, jak przystało.

— Pojedynek tak samo jest zwyczajem barbarzyńskim i nieobyczajnym.

— Pan tego nie zmienisz, doktorze.

— Skoro nie mogę zmienić, to przynajmniej pozwolę sobie nie nazywać obyczaju takiego dobrym.

— Cóż ty na to, Fryderyku? — zwrócił się teraz ojciec do męża mojego — czyżbyś i ty był zdania, że po otrzymaniu policzka trzeba iść do sądu i skarżyć o pięć guldenów odszkodowania.



— Nigdy!

— Powiedz, co zrobiłbyś wtedy?

— Wyzwałbym śmiałka.

— Oto masz, Marto, masz doktorze!—zatrzymował ojciec—teraz widzicie, że nawet Tilling, który jest wrogiem wojny, nie przestaje być przyjacielem pojedynku!

— Przyjacielem nie jestem, powiedziałem tylko, że w danym wypadku chwyciłbym się pojedynku; nieraz już dałem tego dowody, jak również w niejednej byłem wojnie i przy najbliższej okazji znów pociągnę w pole. I w jednym i w drugim wypadku poddaję się tylko przepisom honoru, z czego jednakże nie wynika wcale, aby te przepisy zgadzać się miały z piastowanym w duszy ideałem *o ludzkości*. Gdy ten mój ideał zapanuje w świecie, zmieniają się także pojęcia o honorze.

— Długo chyba na to przyjdzie czekać — przerwał ojciec — dopóki bowiem na świecie znajdzie się choćby jeden szlachcic, dopóty...

Dawny spór wywiązał się znów pomiędzy tymi ludźmi o różnych pojęciach; ja jednak nie pozwoliłam już więcej mówić Fryderykowi i z zachwytem zawiśłam na jego ustach.

— Jakiś ty szlachetny, mój mężu

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

83951/1